



Nr. 3. ~~~~~ DNIA 1-EGO LUTEGO 1899. ~~~~~ ROK III.

DWUTYGODNIK ILUSTROWANY  
POŚWIĘCONY ~~~~~  
LITERATURZE I SZTUCE. ~~~~~

WYCHODZI PIERWSZEGO I PIĘTNASTEGO KAŻDEGO MIESIĄCA.

~~~~~  
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: KRAKÓW, UL. PAŃSKA NR. 11.



## • TREŚĆ NRU 3-EGO •

STANISŁAW BRZozowski: ANIOŁ PAŃSKI

ST. PRZYBYSZEWSKI: ANDROGYNE  
KAROL BAUDELAIRE: ZNISZCZENIE  
PAWEŁ VERLAINE: Z »KSIĘGI MĄDROŚCI«JERZY KARASEK: OTOK ARBRZEZINA  
EWA ŁUSKINA: CHIŃSKIM TUSZEM  
STANISŁAW LACK: JERZY KARASEK  
OLA HANSSON: EDGAR ALLAN POE  
TADEUSZ MICIŃSKI: MODLITWA  
PRZEGLĄD PRZEGLĄDÓW  
ODPOWIEDZI REDAKCYI

## • ILUSTRACJE NRU 3-EGO •

JÓZEF MEHOFFER: TRZY STUDYA

## Z Y C I E

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY  
LITERATURZE I SZTUCE

SKŁAD REDAKCYI:

LITERATURA: STAN. PRZYBYSZEWSKI,  
STAN. WYRZYKOWSKI.

SZTUKA: STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

»ŻYCIE« WYCHODZI W KRAKOWIE  
PIERWSZEGO I PIĘTNASTEGO KA-  
ŻDEGO MIESIĄCA.ABONAMENT KWARTALNY Z PRZE-  
SYLKĄ ZŁR. 2-60, (5 MRK. = 8 FR. =  
2 DOLARY). ROCZNY ZŁR. 10-40PRZEDPŁATĘ PRZYJMUJE ADMINI-  
STRACJA »ŻYCIA« UL. KARMEŁICKA  
22 (OTWARTA CODZIENNIE OD 10-1  
Z RANA, W NIEDZIELE OD 11-12)

KSIĘGARNIE I BIURA DZIENNIKÓW

W GALICJI

W NIEMCZECH URZĘDY POCZTOWE,

W WIEDNIU SKŁAD GŁ. W KSIĘ-

GARNI FR. BONDEGO

CENA POJEDYNCZEGO NUMERU 50

CENTÓW

INSERATY JEDNORAZOWE WIERSZ

20 CENTÓW



STANISŁAW BRZozowski: ANIOŁ PAŃSKI.

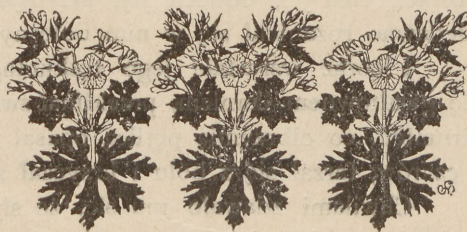
ŁKAJĄ PRZECIĄGLE DZWONY NIESZPORNE,  
PROSZĄC O CISZĘ DLA ZMARŁYCH DZIELNIC;  
W MOJEJ SAMOTNI, JAKBY Z KADZIELNIC,  
SNUJĄ SIĘ ZWOLNA MROKI WIECZORNE.

PROSZĄC O CISZĘ DLA ZMARŁYCH DZIELNIC,  
DZIWNĄ TĘSKNOTA ŁKA W MOJEM ŁONIE;  
W MOJEJ SAMOTNI, JAKBY Z KADZIELNIC,  
MDLEJĄCYCH KWIATÓW SNUJĄ SIĘ WONIE.

DZIWNĄ TĘSKNOTA ŁKA W MOJEM ŁONIE;  
SŁYSZĘ POŻEGNAŃ ŻAŁOBNE PSALMY,  
MDLEJĄCYCH KWIATÓW SNUJĄ SIĘ WONIE,  
NA TRUMNIE WIEDNĄ ŚWIĘCONE PALMY.

SŁYSZĘ POŻEGNAŃ ŻAŁOBNE PSALMY,  
OCZY PRZYSŁANIA OPOŃA MGLISTA,  
NA TRUMNIE WIEDNĄ ŚWIĘCONE PALMY:  
»NIECH ŚWIATŁOŚĆ ŚWIECI JEJ WIEKUISTA«.

OCZY PRZYSŁANIA OPOŃA MGLISTA;  
KOLANA SAME GNĄ SIĘ POKORNE —  
»NIECH ŚWIATŁOŚĆ ŚWIECI JEJ WIEKUISTA«  
ŁKAJĄ PRZECIĄGLE DZWONY NIESZPORNE.



STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI:  
ANDROGYNE.

I rozwichrzyły się na niebie olbrzymie fiolety przedpotopowych paproci, niebotycznymi szczytami wystrzeżyły czarne lasy palm i cyprysów, cichą rozkoszą wykwitły w górę potężne lilje, wgrzyzały się w błękit krwawe języki potwornych orchidei, łagodnym smutkiem rozścielały się liście nenufarów, a wszystko to szalało w rozpasanym orkanie barw: zieleni, fiolety, purpura pasowały się z sobą w zaciekłych zapasach. Przez krzyki czerwieni palącego się żelaza wiły się fioletowe paski, gdyby strumienie górskie, widziane z najwyższych gór szczytów, w zatorach czerni i głębokich błękitów kwitły zielone plamy liści nenufarów, a na jeziorach purpury kołysało się senne kwiecie białych lilij.

Było, jakby się naraz dawno zamarte światy rozteczyły, kiedy jeszcze natura w olbrzymich potęgach się przejawiała, kiedy wierzchołki palm szczyty gór przewyższały, kiedy potężne pnie powojów i lianów lasy w nieprzerwalne gąszcze pętały, kiedy jeszcze gwiazdy w bezatmosferycznych przestrzeniach, gdyby olbrzymie księżyce bezżarnym, metalicznym blaskiem łyssały, a niebo całe krwawiło się ciemną purpurą stęchłej krwi.

I znów ją ujrzał, jak błędziła, gdyby jasny cień w rozkoszach ogrodów rajskich, jak nikła, rozwiewała się, spływała w krzyczących szalach barw.

I w strasznej tęsknocie krzyczał za nią, wyciągał ręce, błagał i łkał.

Napróżno!

Stopiła się w gasnących żarach. Bo otóż nagle padły olbrzymie błyskawice w czerwony szafran słońca, pocichły blaski i ognie, zanikło miasto owite bronzowymi pniami winnej macicy, z gwałtowną szybkością opadła noc na ziemię. W dzikim niepokoju, w rwącej rozpaczycy posłyszał książę wściekłe huki i trzaski spadających wodospadów świętego strumienia, co jego miasto olbrzymią Omegą oblewał, a w świetle księżycy widział miasto, swe martwe miasto, gdyby straszny olbrzymi grób katakomb i w świetle księżycy widział, jak się lały wodospady strumienia, gdyby kaskady zamrożonych stalaktytów światła księżycowego.

Dusza jego połączyła się z ciałem, zanikły czary i dziwy, i w bezmiernym smutku, w przepastnej tęsknocie stał książę przy oknie swego Alkazaru i patrzył błędnie przed siebie.

Tylko z jego duszy rwały się namiętne, łkające ręce, by sen powrócił, by Ona ciałem się stała, by oddech jej ciała spłynął wzdłuż jego piersi, ręce jej spoczęły na jego głowie... och! chociażby zdala przeczuć drgnienie jej serca, chociażby ujrzyć świetlaną jaśń jej postaci, cień jej, oddech jej, przeblask głosu, co tak niedawno rozanielił się w nim bolesnymi cudami.

I coraz wzrastała jego tęsknota, piersi wezbrały się gwałtownym łkaniem, przeklinał swe miasto i święty strumień, co olbrzymią pętlącą opasał to miasto śmierci i czarów, tarzał się z bólu i krzyczał za nią.

Chwilami zdawało mu się, że słyszy coś, gdyby cichy łopot skrzydeł mewy polarnej, chwilami zdawało

mu się, jakby wzdłuż ścian błysnęła bezgłośna błyskawica, czuł, jak coś obejmowało pieszcząciami rękami jego serce, tuliło i pieściło je w sen — a wtedy zrywał się, szukał, błędził po nieskończonym szeregu pustych komnat — i znowu padał na ziemię, wsłuchiwał się w siebie, zwrócił oczy w głąb swej duszy, czy mu w nią nie spłynie tchnieniem jaśminu i wonnych lilij.

Napróżno!

Zerwał się! Zdjęła go straszna trwoga, strach, przerażenie. Zdawało mu się, że samotne komnaty poczęły się zaludniać, słyszał gwar i rozhovor, krzyki obłąkane, to znowu dzikie śpiewy — do komnat wpadały ogromne błyskawice, gdyby strugi lejącego się złota, czuł, że traci przytomność, że za chwilę już strach go obezwładni: zebrał resztki sił, wybiegł z Alkazaru, wpadł w poplątaną sieć, w rozstaje i zamęt tysiąca krzyżujących się ulic, uliczek, zaułków, błędził, stracił kierunek, wracał ustawicznie na to samo miejsce, to znowu krążył wokół jednego punktu, a dostać się nań nie mógł; ciemne kanały ulic zdawały się pogłębiać, tracił ziemię pod nogami, zapadał, zaprzepaszczał się, a coraz głębiej obsuwała się ziemia, poczęła się chwiać, rwać w kawały — chwilę jeszcze a spadnie w bezdenne głębokie otwierające się ziemi...

A po za sobą słyszał ryki i przeraźliwe wycie; słyszał przekleństwa i groźby, coraz silniejsze coraz bliższe, drgał, odchodził od zmysłów, biegł ślepo przed siebie, pędził, że zdawało mu się, iż ziemi nie dotyka; jakaś siła niosła, rzucała go w coraz to nowe sploty i odmęty ulic, aż wreszcie jakby go jakaś olbrzymia pięść przykuła do ziemi, stanął jak wryty na otwartym placu.

Cały plac był zapełniony jakimś dziwnym tłumem w grobowem milczeniu, tłumem strachu, trwogi i rozpaczycy. W nieskończonych szeregach widział mężczyzn i kobiety, widział, jak wokół siebie krążyli, aż naraz pochwycili się za ręce, podrzucili gwałtownie głowy, co im wciąż na piersi opadały, i rozpoczął się straszny taniec. Coraz szybciej zakreślały się koła, coraz gwałtowniej podrzucał się i wirował ten skłębiony zwój ciał ludzkich, — aż wreszcie zanikły postacie i jał kołowac w dzikich wirach olbrzymi pas mięsa, skurczony, to znowu wyciągnięty, jakby miał pęknąć, rwący się w konwulsyjnych podrygach, wyskakujący w górę, to znowu tarzający się po ziemi.

I coraz dzikszym stawał się ten skłębiony wir. Chwilami zdawał się odrywać od ziemi, szalał nad jego głową, w powietrzu, opadał znowu, czołgał, przyczał się u stóp jego, aż naraz pękły więźby, rozpadły się ciała i rzucały się w rozszałej, rżącej rozpuszcie, w kurczowych podrywach, w wściekłych krzykach na siebie.

Rozpoczęła się jakaś szatańska msza, a z wzrastającym przerażeniem czuł książę, że Ona, Ona była tą siłą, co cały ten tłum w szal wepchnęła...

Poczerniało mu w oczach, rozpalili się jakieś krwawe słońca — coraz szersze, coraz dalsze kręgi zataczały, aż od jednego krańca nieba do drugiego rozpalili się pożary, łuny, tęcze — całe niebo zaczęło krążyć, lać się w tysiącznobarwnych ogniach...

(Ciąg dalszy nastąpi)

## KAROL BAUDELAIRE: ZNISZCZENIE.

MIOTAJĄCY SIĘ CIĄGLE DEMON MNIE OKAŁA  
I PŁYNIE WOKÓŁ WIATRU NIEUCHWYTNEM DRŻENIEM,  
POŁYKAM GO I CZUJĘ, JAK PŁUCA ME SPALA  
I NAPEŁNIA JE WIECZNEM, ZBRODNICZYM PRAGNIENIEM.

NEKIEDY, MEJ MIŁOŚCI DLA SZTUKI ŚWIADOMY,  
PRZYBIERA KSZTAŁT KOBIETY, PEŁNEJ CUDNYCH CZARÓW,  
I PODSZEPTEM ZWODNICZYM, OBŁUDNIK KRYJOMY,  
PRYZYWCZAJA ME USTA DO WSTRĘTNYCH WYWARÓW.

I DALEKO ODEMNI JUŻ BOGA ŻRENICE!  
ON WIEDZIE ZŁAMANEGO ZNUŻENIEM W GRANICE,  
GDZIE NUDÓW KRAJ SIĘ CIĄGNIE — PUSTY, NIEZBADANY —

I RZUCA W OCZY MOJE PEŁNE PRZERAŻENIA  
SPLAMIONE BRUDEM SZATY, ROPIĄCE SIĘ RANY,  
I NARZĘDZIA SKRWAWIONE DZIKIEGO ZNISZCZENIA.

tłom. Stanisław Brzozowski.



STUDYUM.

JÓZEF MEHOFFFER.

## Z »KSIĘGI MĄDROŚCI« PAWŁA VERLAINE'A.

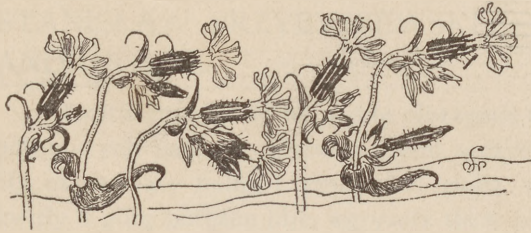
NADZIEJA LŚNI JAK SŁOMY ŻDZIEBEŁKO W STODOLE.  
CZEGO LĘKASZ SIĘ OSY, SZALONEJ SWYM LOTEM?  
PATRZ, SŁOŃCE ZAWSZE PRÓSZY W SZCZELINIE GDZIEŚ ZŁOTEM,  
GDYBYŚ SIĘ ZDRZEMNAŁ, ŁOKCIE OPARŁSZY NA STOLE?

BIEDAKU MÓJ, TEJ WODY CHOĆ WYPIJ — ŹRÓDLANA.  
ZIMNA. ŚPIJ POTEM. WIDZISZ, JAM Z TOBĄ, ZBĄDŹ TRWOGI,  
PIESZCZOTAMI OTOCZĘ TWEJ DRZEMKI SEN BŁOGI,  
A BĘDZIESZ, JAK DZIECINA, NUCIŁ, KOŁYSANA.

POŁUDNIE BIJE. PRZEZ LITOŚĆ, ODDAL SIĘ, PANI.  
ŚPI. DZIWNIE, ŻE STĄPANIE KOBIETY TAK RANI  
MÓZG NIESZCZĘSNYCH BIEDAKÓW, DZWONIAĆ O ICH GŁOWE.

POŁUDNIE BIJE. SKROPIĆ KAZAŁAM W POKOJU.  
ŚPIJŹE, ŚPIJ! NADZIEJA LŚNI, JAK KAMIEŃ W WYBOJU.  
ACH, KIEDYŻ ZNOWU RÓŻE ZAKWITNĄ WRZEŚNIOWE!

przełożył Stanisław Brzozowski.



JERZY KARASEK:†) OTOKAR BŘEZINA. ≡

Jaka siła ekstazy, jaka potęga marzenia, jakie drganie barw, jakie wezbranie tonów... Majestat żarzących się wszechświatów, tajemnica odwiecznych sił pada w oko poety jakby światło, odbite od szeroko rozpostartego kosmicznego zwierciadła, tonącego w bezkresnych dalach nieznanej Tajni, pada jakby w płonące ognisko: dusza poety zamienia się w ołtarz, na który Zwycięska Moc zlewa rwące strumienie swych natchnień, żywiołowe porywy swych wzlotów, aby duszę jego spętać silnie swemi okowy, ujarzmić ją i poddać swej władzy...

Oto pierwsze wrażenie, jakie sprawia poezya Otokara Březiny. Ale nagle spostrzegamy, jak zupełnie inny świat, odmienny od tego, w którym żył dotąd, staje przed oczami poety. Świat, w którym poeta jest Absolutnym Władcą. Świat, w którym już nie jest poddanym, w którym dusza jego nie jest biernym tylko narzędziem, ale w którym poeta sam jest księciem i panem, w którym sam rozdziela i łączy zasłony obłoków i mroków, mgieł i światła, w którym sam wytwarza perspektywy, gromadzi i zgęszcza atmosfery...

Tak Poezja Březiny w nieustannym rozwoju doszła po pierwszej książce „*Tajemne dale*“ do absolutnych i zwycięskich, majestatycznie stylizowanych hymnów w książce „*Brzaski na Zachodzie*“ i jeszcze potężniej zawitała do utworów, wchodzących w skład zbioru „*Wiatry od pół...*“

„*Tajemne dale...*“ Księga bolesnego lęku i gorzkiego smutku, księga, w której myśl poety tli się słabo jak gromnica na ołtarzu nieznanej Tajni. Poeta ucieka od świata realnego, który go rani, od życia, które go przygniata. Twarde koleje życia zmuszają go do ucieczki, porzuca przeto proch ziemi i idzie ku tajemnym dalom złudzeń i snów... Pocałunki namiętnych ust kobiecych nie wzbudziły ognia w jego krwi, szal miłosny nie płonął w jego oku, rozkoszy biały żar nie zaświecił mu w nerwach i mało w swoim życiu oddechał wonią przyjaźni...

»Sam v tiché klausuře jsem počel žití řešit  
a jenom nad svých snů jsem záhonem se shýbal,  
vic nežli v životě jen v myšlénkách jsem hřešil  
a přelud miloval a par touh svých libal.

Me vzpomínky jsou bez barev a beze vlahy,  
jak protěž v herbáři, jenž bílou plisní dýše;  
nakysly parfum hudoby jsem dýchal záhy  
a ponížonych žeň jsem klidil na své liše«\*)

Poeta kroczy przez życie, dzień po dniu, bez uśmiechu barw, bez kwiatów, bez woni i jasności. Z drzewa czasu zrywa suchy owoc życia, woniejący popiołem. Żrący kurz nędzy siecze go po twarzy i wgrzyza się w oczy, głowa jego kloni się pod pośepnym brzemieniem lat... Pomny swej młodości, pomny zgasłych wiośen i martwych chwil, widzi, jak fałszem było wszystko, czego dusza żądała od życia, wszystko, za czym tęskniła, jak słodkie grona rozkoszy gorzkniały i zamieniały się w cierpkie wino poznania, jak chłódł żar uścisków, w którym chciał spalić tęsknotę swej duszy i jak kwiaty, spadające mu deszczem na łono, więdły i obumierały za najlżejszym dotknięciem ręki...

»Vše vzplálo v duši mé a v hubbě mrtvých přání  
zaštkaním smrtelným se třaslo ozvěnou;  
nad Mladí mrtvolou jsem stanul v zadumání,  
jak milenc nad mrtvou dívkou svedenou«\*\*)

I wtedy postanowił rozstać się z życiem... Opuściła rubież ziemskie... i budzi się w pośrodku Wielkiej Nocy... Dusza jego trwożliwie wsłuchuje się w nie-

ADNOTACYE :

†) Szereg zapowiedzianych przez nas studyów i sprawozdań z literatur obcych rozpoczynamy pracą o wielkim poecie współczesnych Czech, napisaną dla „*Życia*“ przez p. Jerzego Karaska. Pan Karasek przyrzekł nam uprzejmie stałe współpracownictwo w zakresie sprawozdań z czeskiej literatury i sztuki.  
(Przypisek Redakcyi).

\*) Dni pustelnicze wiodłem sam w ukryciu,  
Schylony jeno nad snów mych łąn złoty,  
I więcej w myślach grzeszyłem niż w życiu,  
I śpiewał mary i kochał tęsknoty.

Jak porost, co się w zielniku pozsychał,  
Bez barw i soków są wspomnienia u mnie;  
Cierpkie wyziewy nędzy tylko wdychał,  
Płon poniżonych gromadząc w swem gumnie.

Przekł. M. Szukiewiczza.

\*\*) Wszystko stłiło się w mej duszy i jak echo muzyki martwych mych pragnień zaszlochało śmiertelnem łkaniem; nad trupem Młodości stanąłem zadumany jak kochanek nad zwłokami uwiedzionej dziewczyny.

zmiernie dale, a z czarnej, nieprzenikliwej ciemnoty dolatują go uderzenia zegaru z wieży Wiecznego Miasta... Czy to koniec... czy raczej odrodzenie do nowego życia? Wszystkie tęsknoty i namiętne rozterki, wszystkie zwątpienia i grzechy minionego życia, giną w niejasnej, mglistej przeszłości. Przed nim roztwiera się niezbadana tajemnica skamieniałej przyrody, dusza jego wchłania w siebie subtelne fluidum oddali. Ktoś nieznanym wzmieszał mu tajemny ferment do wina jego duszy... Wszystko wyrasta nagle dookoła niego w innych kształtach i świat inaczej odbija się w jego oku... W zielonych blaskach tli się zachód słońca, dziwnie smutny, jak wygasła pochodnia martwego dnia...

Widnokraj ściętnia się do nikłej, stalowej barwy tarczy... Mrok gęstnieje... Czarne lasy kłonią się ku ziemi, jakby kłękły do modlitwy za umarłych... Strop nieba zniża się, przytłoczony szarością... Tajemny głos mówi do poety z czarnej gęstwi nocy. Dusza jego chłonie w siebie tchnienie wiecznego marzenia, a usta szepczą słowa modlitwy: wszystko chce pojąć i odgadnąć wszystkie cele, drogi i ścieżki, wszystko co żyje i umiera, rośnie, kwitnie i dojrzewa, cały wieczny tok życia minionego, życia bieżącego i życia nowego, jeszcze nie zrodzonego — swą magiczną siłą przetopić w swej duszy, aby rozszerzyć myśl życia... aby zamiast realnych przejawów mózgu stawiać typy i idee, a zamiast życia — symbol i syntezę...

W „Brzaskach na Zachodzie“ poeta z bohaterską siłą zbliża się ku swojemu celowi. Pieśń jego z pychą rzuca most z białych promieni ponad zwierciadła głębin, a po tym moście kroczą smutne jego tęsknoty. Rozkosz życia zamknęła mu swe wrota, ale boleść otworzyła mu niezmiernie dale... Tam jest spokojny i silny. Tam może zwinąć czarny namiot śmierci, który dusza jego dla spoczynku rozpięła na swej drodze, a zwrócony ku wschodzącym światłom, może rzec swym myślom, klęczącym na różowych kobiercach jutra: Módlcie się!

Sen jego może dźwignąć się na skrzydłach, lśniących odbłaskami wiecznego jutra i jak widmo olbrzymiego orła nieść ziemię w potężnych szponach, rozdzierając na prawo i lewo czarne opony nocy...

»Slyš hučeni odvčkych moří pod blankyťi ohnivou šiří!  
Protčká splavem tisíců duší a vře a jiskří a víří  
a šlehá! K pochodu tvemu píseň! Od břehu věčna se slívá  
a z jejího refrenu pozvani Najvyššího ti zpívá!«\*)

Na chwilę jeszcze ogarnia go zwątpienie, kiedy przemawia do braci, których dusze kłękają obok jego duszy w świątyniach Nieznanej Tajni:

»Životem prošli jste od plamenů extasi tepajících jak nedočkávé třesení křidel  
až k omdlání duše, když pruty bolesti. žhavé, v pateri provlekají se míchou;  
uzkostné tajemství, tušení Porozumění, spracovalo vaše rysy,  
jak idea mistra přehnětenou formu. Leč vašich očí slzy nejpálčivější uschly ve vaší duši, by nikdo ich neviděl chvíli se v řasách, o Hrdí!...«\*\*)

\*) Słuchaj odwiecznych huków morza pod błękitów ognistym przestworem!

Przewalają się tłumem tysiąca dusz i wrą i iskrzą się i wirują i smagają! To pieśń na twą drogę! Przyplływa od brzegów wieczności a jej refren brzmi dla ciebie wezwaniem Najwyższego!

\*\*\*) Przez życie przeszłiscie zdala od płomieni ekstazy, drgającej jak pełne oczekiwania trzepotanie skrzydeł, aż do omdlenia duszy, kiedy różgi bólu straszliwie smagają grzbiet;

Straszna tajemnica, nadzieja poznania zniszczyła wam rysy, jak idea mistrza ugniecioną formę. Lecz waszych oczu lzy najbardziej

wyschły we waszej duszy, aby nikt nie ujrzał, jak drżą w waszych rzesach, wy Hardzi!

Ale w końcu uświadamia sobie siłę swego ducha. Wszystko, co małe i niskie, znika, wszystko, co słabe i liche, tonie w powodzi jasności, w wezbraniu potęgi, a poeta nadśluchuje, jak obok niego dyszy rytmicznie mistyczna pieśń, a usta jego piją wino mocarzy, w kole druhów. Czuje jak jakiś tajemny wiew wiruje dookoła biesiadniczego stołu, jak unosi go i biesiadników ze zakonu świata, jak śmierć i życie odpowiadają jego marzeniom... Słyszy szum strumieni, co niewidzialnie płyną przez stulecia, widzi obłoki Wieczności, chyłące się ku wodom i blask jej, przeświecający z głębi jak słońce. Upojenie czyni mu duszę jasną, jako dusze przyszłych ludzi, a myśli jego mają rozległość przestrzeni, napełnionych eterem, którym oddechają światy...

»Bratři, z ruky do ruky podávajme víno silných v své číši:  
hvězdy, které naň přšely v květu, ať nahází do našich zraků.  
Trest slabých bude, že zapomenou své jméno při procitnutí  
a odmena silných, že v zářící tmě vzpomenou na ostrovy zajetí sveho...«\*)

Wiatry od pól są szczytem tej poezji, jeszcze dalej niż w poprzednich książkach odsunął się poeta od wszystkiego, co realne, jeszcze głębiej pograżył się całą swą wewnętrzną, dynamiczną potęgą w najodleglejszych, najsubtelniejszych przejawach duszy. Poeta ocknął się na najwyższych górach. Ze źródeł, bijących wśród skał i szumiących nieśmiertelną pieśnią, zaczępnął wody i obmył swe oczy osłabione pomrokiem, aby przejrzały i widziały. Skrzydłami swemi, nawykłemi krążyć wśród niskoletnych wiatrów ziemskiej tęsknoty, począł przerywać wichry Tęsknoty, co płyną przez wieki, ażeby w krainie magicznych ciemnot urosły do pęku promieni, ażeby ogromem swoim rozpostarły się od jednego krańca świata do drugiego, ażeby pełne gibkości i siły mogły się oprzeć najczystszyemu płomieniowi i najgwałtowniejszym huraganom... A wtedy poeta zaśpiewa w zachwycie bratnim duszom pieśń, jako niema większej rozkoszy nad upojenie oka, które spotężniało widokiem wieczności. Idzie ku nim, podobny Mocarzom, wychodzącym na spotkanie dnia śmierci z modlitwą na ustach: skrzydła wyższych jestestw swemi uderzeniami dają rytm jego krokom, a jego magiczny uśmiech wzywa zachodzące słońce: Stań nade dniem moim i nie zachodź, aż dojrzeje żniwo i aż pieśń dziękczynienia zaśpiewam na pobojuwisku! A słońce staje na swej drodze i nie zajdzie po wieki, albowiem dzień zwycięzców, rozdawający światło tysiącom, jest wieczny...

»O Šťastni, kteří jste vstali z těch chvíli volni a čisti  
a modlitbou svojí jediným úderem křidel dostihli vonných snů země:  
ze zahrad neviditelných štipaných tisíců mrtvých, jež čekají vašeho díla,  
vdechnete z hluboka vůně posilující...«\*\*)

Taki jest ideowy rytm poezji Březiny, taka jej ideowa fala. Nie są to drgania barw i zmiany kształtów ze świata materii, na który patrzy codziennie nasze oko... To inny świat kształtów i kolorów, stworzony przez poetę, świat, w którym falowanie duszy w nieświadomych głębiach odpowiada ściśle ogromnemu falowaniu kosmicznemu, ujętemu w tensam typ i myśl, co

\*) Bracia, z ręki do ręki podawajmy czaszę, napełnioną winem mocarzy:  
Gwiazdy, co pryskały na nie, niechaj padną w nasze źrenice.  
Karą dla słabych będzie, że zapomną swych imion w chwili obudzenia  
A nagrodą dla silnych, że w iskrzącej ciemni wspomną ostrowy  
swej niewoli.

\*\*\*) O Szczęśni, którzyście wstali z tych chwil wolni i czyści  
i przez swą modlitwę jedynym uderzeniem skrzydeł dotarli krain  
wonných snů;  
ze zagród niewidzialnych, zasłanych tysiącem martwych, czekających waszego dzieła,  
chłonać będziecie z głębi woń krzepiącą...

życie indywidualne twórcy. Noc wieczna, w której sienieją dojrzewające łany — czyż nie taksamo owiewa ufność duszę poety? Milczenie samotności nad głębiami lasów — czyż nie taksamo objawia się trwoga duszy poety? A czyż ciężki, straszny sen życia ziemskiego nie jest prostym symbolem niezmiernego kosmosu, snem, w którym dusza nabiera sił dla przyjęcia wyższego światła?... Dusza jednostki i dusza wszechności, życie jednostki i życie wszechświata — wszystko jest zwarte i połączone w jedną, nierozdzieloną całość, w której wszystko jest jedyną Formą i jedyną Zasadą... Oto, co nam mówi poezja Březiny... Březina jest poetą syntezy, a nie analizy. Wszak analiza jest rozłączaniem i rozdrabnianiem życia, w analizy rozkłada życie na cały szereg przyczyn i faktów, które dały mu początek? Ale poeta nie chce rozdrabniać i rozkładać, poeta marzy o ogromnych Pałacach, o Budowlach, wspinających się ku niezmiernym wyżynom kosmicznym, na których pragnie umieścić swą Myśl i swoje Marzenie. Jest z rodu wielkich budowniczych, z rodu Shelley'ów, Mallarmé'ów, tych wielkich syntetyków życia — a nie z rodu tych tajemniczych a skomplikowanych duchów, przeczulonych i paradoksalnych, duchów rokoszu, negacyi i zniszczenia, do których należał Baudelaire... W duszy jego niema sprzeczności, niema rozterek, które łamią nagle wyciągniętą linię myśli i zamieniają ją w paradoksalną krzywą. Poezji jego brak namiętnych wybuchów, brak impulsywności i popędowości, które niewątpliwie strąciłyby duszę poety znowu na ziemię w chwili, kiedy dosięga zawrotnych wyżyn. Jako poeta jest Březina architektem, jest strategiem, jest umysłem nawskroś racjonalnym, pozytywnym, obiektywnym, umysłem, który mierzy, waży i wznosi dumne, zamknięte i skończone budowle poetyckie. A gmachów tych nie zniży do kurzu ziemi ani analiza, ani dedukcja, ani sceptycyzm, ponieważ umysł poety wogóle ich nie zna... Proste linie jego poezji wznoszą się ku wyżynom Ułudy i Marzenia tak bezpiecznie i pewnie, jak wynikiem racjonalnych zagadnień matematycznych jest zawsze pewna, określona liczba, pewna, określona wartość... Stąd także zamiłowanie do używania słownictwa nauk ścisłych, słownictwa fizyki, chemii, fizjologii i astronomii — zamiłowanie, które podyktowało poecie zwroty, jak »galwanizm bólu«, »lekki przypływ jak wahanie się igły magnetycznej w busoli«, albo wiersze:

»O proč jsi se vrátila? V krajiny spálenou tíží,  
kde jak z ložisek hasených vápen zdvíha se mlha  
a květy umirají pod krystaly soli aniži  
se zlomené v tlející zemi?...\*)

Takich strof, w których pełno astrochemii i astrofizyki, jest w poezjach Březiny bardzo wiele. Są w nich także obrazy, wzięte z dziedziny nowoczesnego przemysłu, ale przeniesione w zawrotne wymiary, jak np. w poemacie, w którym wywołuje grozę przedstawieniem porażenia, pędzącego wśród nocy i rozdzierającego ciemności tajemniczym, czerwonym błyskiem latarni sygnalowej.

Ale to jedna połowa frazeologii Březiny. Gdzieinziej czerpie on obrazy z katolickiej mistyki i liturgii, a nieraz w wyborze słów zbliża się do frazeologii biblijnej. Są to wiersze, w których ciało jest »świecą na ołtarzu Tajni«, myśl »gromnicą, blade płonąca«, życie »cichą celą klasztorną«, dusza »ołtarzem, na który Zwycięska Potęga zesyła przemożne siły«; tej frazeologii zawdzięcza poeta najpiękniejsze swe strofy, jak:

\*) O, czemu wróciłaś? W krainę bólem spaloną, podobną do dolów gaszonego wapna, z których unosi się mgła — krainę, gdzie kwiaty (jakby nad brzegami jezior sodowych) mrą pod kryształami soli i złamane kłonią się ku rozżarzonej ziemi?...

Žeh bílý světla v lampě dušě mé jsi stáh,  
že v agonii rudé krváci do šera.  
Pod zvlhlými klenbami dni jdu v myšlénkách,  
jak chodbami opuštěného kláštera,  
kde o fresky stěn třišti se vlny soumraku  
a zapomenuté legendy v zčernalých rámech se tmi,  
jak okna prolomená v staletí zázraků  
do zasmušilých horizontů tajemství (\*\*).

A że tej poezji, wyłącznie ascetycznej, nie brak także kipiącego uczucia zmysłowej rozkoszy (okoliczność, która ostatecznie zdziwić może tylko tego, kto za słowem »mystyk« widzi obraz chłodnego, w abstrakcyach ginącego ideologa, a zapomina o ognistej zmysłowości poezji mistycznej np. św. Teresy lub św. Jana de la Cruz), o tem świadczą wiersze pełne gorącej zmysłowości, wiersze, w których poeta »chłonie z rozkoszą woń krwi kochanki«, w których »ogniste spojrzenia kobiet iskrami smagają żądze ciała«, albo wiersz, w którym mówi o »niezmiernej rozkoszy spoczynku na białych łonach, o pożądliwych splotach nagich ramion«. Tam, gdzie te zmysłowe tony i cielesne rozkosze stykają się nagle z czarną grozą tonów martwoty i zniszczenia, gdzie splatają się z myślą o śmierci przystaniąjącej wszelką radość i wszelką dłuższą rozkosz chłodnym cieniem całunów... tam wywołuje poeta oryginalne kontrasty. Cytuję urywek z poematu ponurego jak spadek rytmiczny requiem, rozlewającego się po nerwach jak lodowate fale ciemnego strumienia, kładącego się na duszę jak czarny całun beznadziejnej Nocy:

»Mé tělo projala's jak bledá záře divem,  
v mych nervach hořela's jak umírání pocitu,  
a pohřben v loktech tých, jak v chladném hrobě živém,  
pod tíží polibků jsem unavený pročit...\*)

Poezja Otokara Březiny tchnie niezwykłym czarą. Jej niezmiernie ideowe i metafizyczne widnokreśli, jej lśniące, pełne barw i tonów melodye słów, których analizę podały w najkrótszym zarysie powyższe uwagi, — świadczą, że w Otokarce Březinie poezja czeska przeszła granice poezji lokalnej i domaga się uwagi nie tylko czeskiego czytelnika. Niniejsze studium miało na celu wskazanie oryginalnego talentu poetyckiego, który wzrósł w dusznej czeskiej atmosferze, zabójczej dla każdej, potężniejszej iskry artystycznej...

W Pradze, 26 stycznia 1899.



\*\*) Płomyk białego światła dogasł w lampie mej duszy, krwawą agonią brocząc rozplywa się w mroku. Pod wilgotnem sklepieniem dni idę zadumany, jakby krużgankami opuszczonego klasztoru, gdzie o freski ścian pryskają fale półmroku a zapomniane legendy w zczernalych ramach ciemnieją, jak okna otwarte na cuda stuleci, na ciemne horyzonty Tajni.

\*) Ciało me przejęłaś gdyby dziwem bladych blasków, W mych nerwach gorzałaś jak poczucie skonu, a pogrzebion w twych objęciach, jak w chłodnym grobie żywym pod ciężarem pocałunków znękały się oczkami.



## EWA ŁUSKINA: CHIŃSKIM TUSZEM.

— Dlaczego od niedawna piszesz rzeczy tak bezmyślne?

Odwraca się zdziwiony.

Ona przerzuca właśnie kartki jakiegoś czasopisma, dużego formatu.

— Dostrzegłaś to, moja mała?

— Tak. Pióro twe staje się wytwornem i błyskotliwym, jak pióro francuskiego stylisty. Bluetki twoje podobne są bladym rysunkom gwaszem i kredką, tworzoną, aby były oprawne w passe-partout i zawieszane w półcieniu kobiecego buduaru. Ale nie ma w tem — duszy —

— Hm, hm...

Duże, puste okno o jednolitych szybach, teraz otwarte na rozcięż.

Zmatowane, perłowe, zda się bardzo oddalone tło nieba —

Pod oknem biurko, zarzucone stosem rupieci —

Młoda dziewczyna przysiadła na krawędzi, zrzucając część teczek i rulonów na podłogę.

— Gniewasz się? To źle... Powinieneś czuć że za żadną cenę nie chcę ci sprawić przykrości —

Ściąga lekko brwi, odchyła głowę, przymykając przelotnie powieki.

— Wiesz? Nim ciebie spotkałam, tak mi było źle na świecie, tak źle...

On powstaje z sofę, na której leżał od godziny, zajęty liczeniem arabesek na suficie —

Rzuca w ką, do połowy wypalony papieros, nie dbałym krokiem podchodzi ku oknu.

— Zejdź do mnie, poprosił.

— Teraz mnie jest źle! Czy chcesz mnie ukoić?

— Tak, mój przyjacielu —

— Pójdź! Złóż głowę na moich piersiach, daj się objąć serdecznym ramieniem —

Nie opieraj się, nie drzyj...

Pomnij — nie znałem twego imienia, ani twej doli, ani tego, którego kochałaś. Alem spojrział w otchłanie twego bólu, w kiry twej żałoby i mękę twą odcierpiałem wraz z tobą.

Kiedy podnosiłaś biedną, zmęczoną główkę, w jasne chłody zimowych ranków, a drobne iskry śniegu płakały na twych gorących rżęsach...  
...pamiętasz?

Zaufałaś mi, przyszyłaś do mnie. Odtąd przychodzisz tu tak często. — Niesiesz mi z sobą światło, ciszę, ukojenie i bierzesz je w zamian.

Potępiają cię za to —  
powiedz?

— Zdaje mi się, nie wiem, nie pamiętam...

On uśmiecha się do niej przelotnie.

— Sieroto ty moja, dobrze ci?

Więc przytul się mocniej, wpatrz mi się w oczy, wsłuchaj się w szmery mego serca...

...Bo będę mówił do ciebie niesłyszanyymi wyrazami, i chcę ci wyznać wszystko —

Dlaczego piszę tak bezmyślne rzeczy?

A ty pomyśl najpierw, jaką jest sztuka, nasza sztuka? —

Wszak to już cała wieczność, w nieskończoności swych odrodzeń, wszak to ta sama piękność, której blask bije z kart Ewangeli, — ten sam ascetyzm, co w proch ciskał i w niebo się targał, ten sam wielki dech bohaterstwa, rwący w płomień i w śmierć, — ten sam nagi geniusz wieków, w niepowstrzymanym pochodzie...

To nazarejska, prosta dziewczyna

w oczekiwaniu cudu, co niewiadomą idzie drogą, może w pożarach krwi, może w zjawie snu, może w genialnych szałach ekstazy —

A teraz myśl, czym jest nasza sztuka?

Oto owym mlecznym szlakiem tęsknoty, pieśnią tysięcy lat, jednym głębokim tonem pożądania — za absolutem, za szczęściem...

A szczęście — to nie abstrakcja, to jawa, wszczepiona w serce, wchłonięta w nie, — to życie — inne, oderwane, niepojęte — ale życie —

A że tem pragnieniem prężą się nasze nerwy, że każda fibra nasza jest bólem, że nasze harfiane dusze drżą niem i płomienią, przeto cała ich udreka, cały wysiłek naszych tworów, wszystko to zapada w nicość, rozbija się w pył wobec jednej — przeżytej chwili — upojenia...

I jeszcze weź, ile wartą jest sława — najsmutniejsze ze złudzeń —

I cóż stąd, że kilka tysięcy ludzi przeczyta nasze książki, pochwali nasze obrazy, aby jutro upomnieć się o nowych twórców i nowe dzieła?

Alboż jesteś dla nich czemś więcej niż modnym meblem, zapewniającym chwilowo przeraźliwą pustkę gładko wyfroterowanych salonów ich mózgu?

Alboż istniejesz dla nich jako człowiek?

Nie miotajcie pereł przed trzodę, ani mówcie ślepemu o kolorach —

I dlatego to żaden z nas takiej sławy ani pragnie, ani potrzebuje —

...My idziemy w przeszłoneczne dale duszy, w wieczność, która jest niczem, jak muzyką, w mistyczne ogrody intuicji i przeczuca.

Ale dusza — jest zawsze samotną —

A myśmy ludzie, tylko ludzie, chorzy wieczną nostalgią, udrecceni gorączką tęsknoty, odarci i bez sił — smutni — aż do śmierci —

Więc i upadki nasze prędsze i niższe, wprost w kałuże, wprost w błoto, a już z całą straszliwą świadomością —

I oto przychodzi chwila, w której ujarzmione instynkty zerwą się jak złe psy na uwięzi —

Ona — znowu ona...

Pomyśl, że się zapotrzebuje jej barw, jej form, tycyanowskiej karnacji jej ciała, blichtru jej przypadkowej piękności — żywiolowo, nieprzeparcie, ślepo...

A po za tem, to taka marna, marna dusza, że już nie wzgardę, ale litość budzi —

I rozum, że to jej potrzeba tego szumu, tego blasku, tego nie-milkającego rozgłosu, na który rozmiemam liczmany mej twórczości...

Bo nie mogę inaczej! Bo to tylko zdolne rzucić mi ją w ramiona —

A upadnie w nie, upadnie, lada dzień, lada chwila, pchnięta nie porywem uczucia, nie szałem temperamentu, ale poprostu najnędniejszą z próżności —

A ty wejdź teraz w głąb swego litosnego serca i posłuchaj, jak to boli! —

Odchodzi ku oknu, i patrzy w noc, w sinawą zimną jasność, ślizgającą się po blaszanych dachach —

Ona siedzi dalej, skulona w kącie sofę —

Jej wielkie tragiczne, oczy, świecą w zmierzchu, rozszerzone nad miarę —

On odwraca się teraz z twarzą zmienioną i ściemniałą.

— Co powiesz o chwili, gdy ujrzę ją tak, jak mi ją maluje krzyk mej wyobraźni, gnącą mi się w ramionach, poddaną rozkoszy?

Zbliży się do niej i ściska jej ręce — do zmiażdżenia —

— Czy wiesz? Zaprzepściłbym cię, zatracił duszę własną za możliwość natychmiastowego uchwycenia tej wizji krwi, przepłomieniającej mi mózg...

Ale raczej na śmierć ubiczowałbym me ciało, jak średniowieczni asceci, raczej przepalił się na popiół pożądaniem, niżbym zaważył się tknąć ustami rąbka jej sukni, gdyby mi na tem przepyszmem, bezmyślnem czole, objawiła się — dusza —

Ona wstrząsa się cała, usiłując uwolnić dłonie z jego uścisku.

— Boli... bardzo... — skarży się cicho.

Puszcza jej ręce.

Ona powstaje, chwiejąc się, bezcelowo zaczyna się krzątać po pokoju.

Jak wątył cień, w głuchej czerni swej żałobnej sukni, przesuwa się wzdłuż blade rozsrebrzonych ścian.

Niesie na tacy jakieś szklanki, szkło dzwoni głośno w jej rękach —

Na dużym stole ustawia maszynkę do herbaty —

Od ciemniejącego sufitu przesiewa się mrok coraz gęstszy.

Parne powietrze wpływa przez okno, denerwująca cisza uspiętego przedmieścia, głęboki seledynowy półton letniej nocy, rozjaśniający się połową nieba w ciche zielone żmije błyskawic —

Ona sięga teraz po małą lampę z trochę tylko obtłuczonym kloszem.

Próbuje ją zaświecić drżącymi rękami.

Oczy jej są jak przestraszone jaskółki przed burzą, tłuką się niespokojnie o różne przedmioty.

On siedzi z twarzą ukrytą w dłonie w wgłębieniu wielkiego fotelu.

Do przechodzącej mimo wyciąga ramiona z namiętną tęsknotą —

— Chodź do mnie! Potrzeba mi dotknięcia twoich rąk, pieszczoty twego spojrzenia...

U nóg jego usiada na niskim taburecie.

On gładzi miękko jej głowę, jej jasną, pochyloną główkę, pajęczą tkankę jej włosów —

— Gdy pomyślę, że tybyś mnie kochała, że jabym mógł kochać — cię... Pozwól, niech ujmę twą przeźroczą twarzyczkę w moje dłonie... Jesteś jak blade zjawienie duszy, jak pre-rafaelicka wizja. — Może tylko w moich oczach —

— Lubię czuć pod dłonią twoje małe, bijące serduszko, patrzeć na trzepotanie twych złotych rzęs, na różowe cienie przepływającej krwi...

— O czym to chciałem mówić? A! jesteś piękną... On cię całował — prawda? on cię musiał często całować... Nie odpowiadaj! Nie chcę...

...Czemu nie ja byłem tym, który w tobie zbudził — kobietę?

Pochyla się naraz ku jej twarzy, blisko, bardzo blisko.

— Albo... mów! kim on był? Jak ty go kochałaś? Nie pytałem cię nigdy o to, — ale teraz, — chcę wiedzieć. — Czy ty go kochasz jeszcze? — kochasz? — umarłego?

Aż ją ogarnie drżenie... Wibrujące, potężne, wypełzłe z najgłębszych zwojów mózgu, z najcieńszych fiber jej ustroju, trzęsie nią, szamoce, ubezwładnia —

On patrzy w nią, wyteżonym, badawczym wzrokiem, a na białem, w bruzdy porytem czole występuje sieć sinych żyłek —

Ręka nerwowo szarpie poręcz fotelu, w zielonawych, mieniących oczach prześlizgują się iskry niepokoju.

Poznaje fatalną omyłkę, tragiczny konflikt, wieczną i wieczną ironię — bytu —

Jej krew ścina się lodem, członki drętwieją, tętnice biją prawie głośno. Nie może już powstać, nie może odejść, nie może nic zaprzeczyć —

On wie — Wstyd! On wie —

Nie jest w stanie znieść jego wzroku, jego wzrok ją boli —

Zakrywa ręką oczy, zaciska palcami powieki. Łamie ją ból, przerażenie i jakiś rozszalały odmet pijanego szczęścia...

On powstaje, — już zdecydowany, — już z płomieniami w oczach — z siłą prawie brutalną odrywa jej palce.

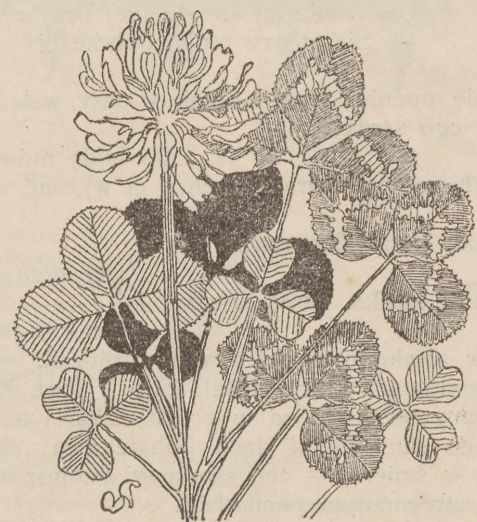
— Jaki? Więc ty...

A w niej nagle stała się biała cisza —

Jak kiedy na słaby płomyk ludzkich istnień wionie tajemny dech przeznaczenia —

Rzekła mu prosto:

— Tak. Kocham — cię...



## STANISŁAW LACK: JERZY KARASEK

Wytworny stylist, poeta i krytyk, który swojemi studiami zapoznał Czechów z literaturą niemiecką i francuską, i który w licznych artykułach o młodej literaturze czeskiej istotnie utworzył drogę nowym dążnościom. Jak Procházka należy Karasek do tych krytyków, którzy umieją okazywać, chociaż pośrednio tylko, swoje sympaty i antypaty (nie należy mięszać z pochwałą i naganą!), swoje twierdzenia i przeczenia, — a nieme te znaki, to nie wytryski »tęgiego pióra«, lecz przejawy jaźni, która przetrawia, która spływa się w jedno z przedmiotem swej analizy, która przetapia materię, wybiera pokrewne pierwiastki, odłącza je od innych i wrasta w rdzeń pobratymczy. Poeta swej duszy, krąży w rozległych, bezludnych i ciemnych krainach i jak zbieracz, którego każdy nerw przesycił się starą kulturą, gromadzi dookoła siebie skarby, rzadkie, wyszukane, a gdy wpadnie mu w ręce jakiś klejnot nieznan, nieoprawiony, ujmuje go w złocistą oprawę o misternej cyzelurze. Essay Karaska o Stefanie Mallarmé nazywa się »Fikcją krytyczną«: jestto poemat prozą, jestto fikcja, której centrem i punktem świetlanym jest artysta, samotny ogrodnik swych sensacyj, nieznan, niebyły, jedyny — jestto fikcja, w której na dalekiej, tęczącej w mgle wyżynie ukazują się przedmiot chorej tęsknoty, przyobleczonej w kształty Poety. Mallarmé ze swoją nieustanną dążnością do syntezy sztuki i swoją pogardą dla świata zewnętrznego staje się ideałem dla takiego krytyka, jak Karasek, który poprzez objawy niezależne duszy dąży właśnie do syntezy życia i sztuki. Sam umysł ginący w analizie stanów duszy, widzi w Syntetyku wcielenie jedynych dążności artysty.

Zdawałoby się, jak gdyby poezja innych odkrywała mu nieznanne strony własnej jego duszy. I z tych pierwiastków, które utworzyły rdzeń jego indywidualności, przędzie swoje widzenia, cieniuje je i wysubtelnia. Stąd różnorodne są poezje Karaska, każda faza rozwoju ujawnia się rozszerzeniem treści indywidualności, która wprost staje się inną, jak była, ale na dnie pozostaje ten jeden zasadniczy ton: dusza chora, wycieńczona, otoczona wieczną ciemnicą, odwrócona od życia i hałaśliwych gwarów, pogrążona we własnych swoich snach i marzeniach.

Jest winiętka Karola Hlavačka: czarna przestrzeń, na której ledwie dostrzegalną linią rysuje się ciemna ziemia. Na niej postać klęcząca, ciemna, wyciąga ręce ku słabo przeświecającym promieniom: ARS. W tej drobnej postaci i w rękach wyciągniętych drga rozpaczliwy, bolesny wysiłek, niezmierna tęsknota. Hlavaček wyobraził symbolicznie w tej drobnej winiętce dążności artysty. A poezja Karaska, to taka ciemnia, rozległa i bebrzeżna, w której jaskrawe blaski, wytryskujące chwilowo, giną natychmiast w czarnych przepaściach. Jestto nieustanna suggestya, wywołana kojarzeniem słów, które nagle znikają, wytwarzają linię a wreszcie rozległym rytmem rozkołysaną muzykę, roztwierającą wielkie perspektywy: dusza rozprzestrzenia się, wyolbrzymia i obejmuje sobą świat cały, ginący w pomrokach. Słowa są tem drobnym okienkiem, przez które, jak powiada Barbey d'Aureville, piekło wydaje się straszniejszym, niż gdyby je ukazano w całej okazałości. Na tem właśnie polega ta »nowa« poezja: ustawia obok siebie słowa i wiersze, które same dla siebie nie mają żadnego znaczenia; są tylko »okienkami«. Stąd zdarzyć się może, że nieraz dla samego dotarcia do tego okienka trzeba przebyć stadya pośrednie: słowa są brane z dziedziny już nierealnej i są symbolami zjawisk, będących wyższemi syntezami.

Poezja Karaska, to taka ciemnica, w której błąka

się poeta »ostatni potomek starej rasy, wyczerpanej, ginącej, napiętnowanej chorobliwym pięknem tych, co śmierci są oddani.« (»Księga arystokratyczna«). W takich ciemnościach granice się przesuwają zupełnie, a jasny punkt, którego prawie dotknąć się można, niknie w oddali: ten chory, ślepy, wyciąga ręce, a zapomina, że tylko ręka się zbliża do upragnionego przedmiotu. a reszta jego istoty natrafia na nieprzebyte przeszkody, Wynikają z tego tragiczne konflikty i bolesne zderzenia. Dusza znękana cofa się w odległą swą ojczyznę, przysłoniętą mrokiem wieków rozwoju, zwija się i chowa w najdalsze zakątki, wysyła w ciemne noce swoje widzenia, kwiaty bezsenności, i tarza się pod gwałtownem umartwieniem ostatecznej rozpacz — spleenu, straszego przygnębienia istoty, która doszła do kresów poznania i na dnie wszystkich rozkoszy, wszystkich pragnień odkrywa smutną prawdę, nowe udręczenia, nowy spleen i śmierć, wykwitającą chorobliwym kwiatem na podłożu normalnego życia. I w tej strasznej, znużonej ciszy niema szeptu, któryby świadczył o życiu — martwość dookoła, martwość »w której dusza tonie coraz głębiej, staje się marnym atomem i prochem«. Ale śmierć może być wybawieniem dla tych, którzy rozkoszy odczuwać nie mogą, dla tych samotnych, którzy rozpaczliwym wysiłkiem resztek pierwotnej natury, przytępiętej pracą mózgu, ściągają ku sobie znikome rozkosze dla zagłuszenia spleenu — śmierć nachodzi ich cicho, nieznanie i kosmicznym smutkiem owionięta »duszą, lekka, wybawiona, cicho wychodzi z materii«. (z »Księgi arystokratycznej«).

Baudelaire jest ojcem tej poezji, tajemniczej, cichej, dumnej, chwiejącej się rozległym, falistym rytmem. Na wskróś poezja wnętrza, poezja duszy, dla której Baudelaire mógł być koniecznym objawieniem. I w tej poezji kwitną »kwiaty grzechu« — inne, mniej subtelne, mniej wyszukane, trochę hałaśliwe, przesadne w młodzieńczej wybujałości.

Pojmiemy, że chodzi mi tu nie o negację, lecz o powiązanie jednej fazy rozwoju z drugą: »Księga arystokratyczna« lub dawniejszy zbiór poezji Karaska „Zasłona okna“ łączą się słabą tylko nicią ze „Sexus necans“. Karasek poznał tymczasem i przetrwał poezję Przybyszewskiego i z niej zaczerpnął nowe soki. „Sexus necans“ samo w sobie nie jest ani gorsze ani lepsze, kontrastuje tylko zbyt silnie z »Księgą arystokratyczną« — subtelny arystokrata znika niemal zupełnie, znika do drobnego punktu i ukazuje się z trudem na dnie rozkoszy, którą pragnął się upoić. Ukazuje się znowu w straszonym spleenie, w strasznej rezygnacji, opuszczającej ręce i oglądającej się ze smutkiem za młodzieńczą krasą, która już dawno w nim zamarała. I znowu nie mamy tu do czynienia z realnymi przejawami — na tle ciemnej otchłani hasa orgia rozpusty, gdzieś, w niezmiernych dalach wiją się ohydne sploty ciał, wyolbrzymiają się w nieskończoność i stają się jednym wielkim splotem świata. To ten arystokrata, który już dawno poznał prawdę i który z głębi swych zwątpień podnosił hymny do symbolów czystości i wiecznej miłości, który zbliżał się już na krok do tej granicy, gdzie smutnymi słupami widnieje „Sagesse“, tensam arystokrata czuje nagle w sobie budzącego się upióra w odległych zaczątkach świata wszczepionego w organizm. I upiór ten straszny jest w swoim nieokiełzanem wyuzdaniu: snuje w nim nieskończone wizje, otacza go i oplata wszystkie zjawy bolesną zasłoną Maji i z wysokości illuzji strąca go w bezdenną otchłań spleenu:

Descendez, descendez, lamentables victimes,  
Descendez le chemin de l'enfer éternel!

(Baudelaire).

Ale sam staje się bohaterem tragedii, którą stworzył, tragedii chuci, instynktu rozkładającego się pod ostrem cięciem mózgu i wołającego z rezygnacją: »Ofelio, idź do klasztoru!« Bezsilny, blady, wyssany opada przygnieciony ogromnym ciężarem poznania: »Żar innych ciał twych kształtów strawił nagości. — I gdybym duszy twej nagle przestąpił próg — wszystkich, co byli przedemną, znalazłbym tam wstręt«. Tragiczne poszukiwanie absolutu, który niejasno mglił się w nieokreślonych przestworzach, kończy się konfliktem z rzeczywistością; świat rozkoszy, świat tłumy nie dla nich, dla tych męczenników miłości, którzy za najłżejszem z nim zetknięciem tarzają się w strasznych udręczeniach sumienia. *Unerbittlich in seiner Zukunft ist das Gewesene!* W zawrotnym upadku staczają się w otchłanie odrazy, a z głębi brzmi obłąkana pieśń tych, co przyszli już późno, ostatnie odrośle znużonych ras, których nie wabi nawet czar illuzji innego życia. Świat cały — ohydna karykatura, z której oczu wygląda brzydka twarz śmierci. Ostateczne poznanie, któremu wszelka mądrość jest błahostką, skrzywia i karykaturuje wszystko: »Jak małpa skrzywiona Agaton ziewa — winem zmorzony chrapie Alcybiades — nudny Sokrates starcze brednie prawi« — zagląda w głąb i odmęty życia i patrzy na śmierć za życia, rozkład... Przeszedłszy przez takie piekło, przez żary płomienie miłości tego świata, (która jest miłością *pour vivre*), skostniała w bólu dusza pesymisty odwraca się jeszcze bardziej od życia i śpiewa hymny nowej miłości tym męczennikom, »hymny ciemne jak rozpostarte skrzydła śmierci dla tych, którzy ciągną gnani tęsknotą, coraz bardziej błakają się na ścieżkach wiodących do jasnym i świętym chramów nie ginącej piękności, dla tych, którzy niezdolni do życia, marnie tułają się po kamienistych jego drogach. Tak, ten arystokrata jest na drodze do innej miłości, do miłości, która »z przyrody tworzy sobie tło dla swej wielkiej, dumnej, nieokiełzanej woli«. (*Rachilde: Les hors nature*).

Powiedziałem wyżej, że Karasek jest nadzwyczaj zmienny, a rozumiałem przez to sprzeniewieranie się własnemu swemu ja, które inaczej dyktuje, a równocześnie zaćmiewa sobie dokładne poznanie swej istoty, (właśnie tego subtelnego taktu artystycznego brak w *Sexus necans*) i wykrzywia linie, które w swoich dziwnych zagadkowych zgięciach były całkowitym jej wyrazem. Jestto »dziecię doby upadku, przesycone zwątpieniem swego wieku«, które z głębi swego osłabienia podnosi oczy ku symbolom odwiecznej młodzieńczej kraszy i siły i odrodzenia: »osłabły znękany pątnik — dziś swego zwycięstwa — widzę w tobie symbol, o święty!« (»Hymn ku czci św. Jerzego«). Takie powinowactwa słabych i silnych są nader rzadkie, a tam, gdzie się ukazują, są jakby świadectwem niezniszczalnej żywotności... Karasek pisze studia o Ibsenie i Whitmanie, o dwóch siłaczach, w których widzi wcielenie zwycięstwa rasy germańskiej nad rasą łacińską, upadającą pod ciężarem wieków kultury, dociera do wnętrza rzeczy, do jej rdzenia i na nim buduje syntezę. Ale ani Ibsen ani Whitman nie są tylko »objektem« — są raczej wcieleniem tych pierwiastków, które w nim samym doszły do końcowego osłabienia, niemal do zaniku. Tak wielki, chory Nietzsche szuka mądrości i formy życia u Greków, którzy z nadmiaru sił żywotnych stworzyli tragedię grozy i tą grozą się upajali, bo dla nich życie było wrogiem (jak dla wszystkich wielkich pesymistów), a dumne, silne istoty lubią wrogowi śmiało zaglądać w oczy. Takie natury szukające powinowactwa, to natury wyjątkowe i tylko mocą swej wyjątkowości zdolne do przejścia się wpływem innych, także wyjątkowych natur. Jestto dziwny, niezmiernie podwyższony i niezmiernie od t. zw. naturalnego oddalony dobór...

Tak się przedstawia centralny punkt krytyki Ka-

raska, ale jest on także krytykiem pozytywnym oczywiście nie w znaczeniu dogmatycznym! Jest przede wszystkim fanatykiem sztuki, która mu jest początkiem i końcem, życiem i celem. Jeżeli analizuje, to na to, żeby dotrzeć do jądra, do wiecznej istoty, która na dnie każdego prawdziwego dzieła sztuki się ukrywa. Jest syntetykiem i w każdym artyście szuka celu ostatecznego wszelkiej twórczości: syntezy sztuki, nigdy nie osiągniętej. Do tej syntezy dochodzi artysta przez ujawnienie swej jaźni i rasy, a przynajmniej swojej jaźni, swego wnętrza. Zdaje mi się, że należy to rozumieć w ten sposób: dusza, która wyłącza ze siebie stopniowo wszelkie przypadkowe pierwiastki wszczepione w nią z zewnątrz, nie tkwiące w jej wiecznej, niezmiennej istocie, dochodzi wreszcie do tej nieskończonej idealnej linii granicznej, gdzie maleje do drobnego punktu i zarazem staje się olbrzymim odłamem, nie odłamem, lecz raczej całością duszy: sztuką. Bo wszelka indywidualizacja dochodzi w nieskończonym swym, cieniującym się biegu do punktu granicznego, na którym spływa się z wszechnością. Ciśnie mi się pod pióro imię Zarathustry...

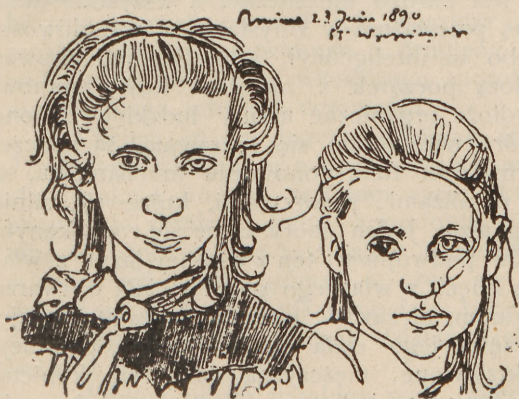
I w ten sposób Karasek dochodzi w swej krytyce do najwyższej »abstrakcji, w której jest sen i symbol«, jak powiada Taine. Oczywiście nie jestto abstrakcja sucha, pojęciowa, pozbawiona obrazowej, plastycznej treści, lecz przeciwnie. Taką abstrakcją operował Schopenhauer, operował Nietzsche i sam Taine. I z tego punktu widzenia analizuje Karasek Ibsena (w książce *Ideje siłku*). Ibsen staje przed nami plastycznie — jakby dąb wyrosły na twardej glebie norweskiej, jakby dąb, w którego cienie kryją się całe tłumy tych, którzy błędzą nieznanymi szlakami, tych, którzy giną w chaosie form niewyraźnych, tych, którzy pragną rozwiązania dręczących problemów i tych, którzy nowych dróg szukają i pojęć. I cały ten tłum słucha tajemnych szeptów liści, które chwieją się pod wiewem wiatru — i są nieuchwytnie. Szkoda tylko, że zwrócił główną uwagę właśnie na owe »Ideje jutra«, które dziś już mają zresztą bardzo małą wartość, a w swoim czasie były tylko zaćmieniem właściwego rdzenia sztuki. Zdaje mi się, że właśnie po odłączeniu tych »Idei« napotkamy na Idee wyższe, rozległe, wielkie, nieprzypadkowe, złączone z tak zmiennym podkładem, jak stosunki społeczne. I tak postąpił Karasek w studium o Whitmanie (w tej samej książce). Whitman: posąg tonący w słońcu życia, niepożyta siła, porywająca gwałtowną wichurą wszystko, co na drodze napotka, i przetwarzająca wszystko na swoją własność. Panteista, który dochodzi do ubóstwienia swego ja, poprzez ubóstwienie wszelkich zjawisk życia, bo ja jego to świat cały. Odpowiednikiem tego panteizmu jest skrajny arystokratyzm i wszechdemokracja, ale demokracja nie w znaczeniu formy ugrupowania się społeczeństwa, lecz w znaczeniu zrównania wszystkiego, co jest symbolem tylko i przejawem Życia. Trzeba się zbliżyć nieco, żeby zobaczyć, jak ta »demokracja« gwałtownie szybko znika w otchłannej jaźni świata-poety, pogrążonej w rozkoszy życia i śpiewającej »tęsknotę duszy za nieznanem wybrzeżem Nowego Kontynentu, ku któremu trzeba płynąć ciągle, płynąć nieustannie... I dlatego będzie Whitman zawsze poetą tych, którzy niepokojną i tęskną swą duszą ulatują w nieznaną dal...« Istotnie Whitman jest silny tą potęgą, która do wszystkiego zwraca się z radosnym »tak«, bo niema dla niej nigdzie niczego, coby jej w drodze stanąć mogło. Może to istotnie jutrzejšia generacja?... Ale Karasek nie do niej należy, lecz do tych właśnie, którzy (już mówiłem o tem wyżej) patrzą tęsknie w dal i którzy szukają podpory.

Studium o Ibsenie było pisane przed czterema laty: pełno też w niem wywodów teoretyczno-polemicznych, które starają się oprzeć krytykę na jaźni i rasie.

Karasek, uczeń Taine'a i artysta nie może zgodzić się z teorią Hennequin'a, który wprost neguje wszelki związek między rasą a artystą. Dla Hennequin'a niema właściwie czystych ras i żadną miarą nie można wytłomaczyć tak przeciwnych sobie i sprzecznych zjawisk, jak Flaubert i Barbey d' Aureville, Poe i Whitman i inni. Związek istnieje natomiast między artystą a tą grupą, która go pojmuje. Sztuka więc jest narodową dlatego, że przyjmuje ją i podziwia naród, nie zaś, że wyszła od narodu. Karasek po części przyjmuje te wywody, ale nie uznaje ich słuszności ze względu na Ibsena, który jest dla niego wcieleniem twardego, protestanckiego ducha norweskiego.

Ale i obok tego: zestawienie różnych artystów tej samej narodowości nie jest jeszcze wcale dowodem. Bo mimo najzupełniejszej przeciwności poszczególnych indywidualności (i tak być musi, inaczej niema sztuki), całość odznacza się pewną jednolitością, choćby nawet minimalną — pierwiatki zaś rasowe nierównomiernie rozdzielone do wyższego dochodzą rozwoju u jednych niż u drugich, albo też idą w różnych kierunkach. Na Poem ten wyższy rozwój bardzo pięknie wykazał Ola Hansson, na Whitmanie mniej zupełnie Karasek. Zresztą prawdopodobnym jest, że u wielkich artystów właśnie osłabione pokłady rasowe dochodzą do właściwego rozkwitu tak, że w oderwaniu od rasy bardzo trudno twórczość artysty rozważać. Odszukać można rasę nawet tam, gdzie jest najmniej widoczna wskutek zupełnego osłabienia. W każdym razie sprawa zbyt trudna, żeby ją można na sposób Hennequin'a rozwiązać prostą negacją.

Ale jest w każdym dziele sztuki cząstka innej jeszcze rasy: tej starej rasy poetów i mędrców, których ostatnią znużoną odroślą czuje się każdy artysta: każdy wielki artysta czuje się ostatnim, jedynym, bo we wnętrzu swoim kryje syntezę ostateczną sztuki i do niej dąży nieustannie i jej buduje tajemne kaplice i ją otacza wielką swą myślą... Z tej rasy jest także Jerzy Karasek.



## OLA HANSSON: EDGAR ALLAN POE.

## V.

Obdarzony anormalną bystrością i zdolnościami nadmiernie zaostrzonymi, obejmuje Poe nieskończenie rozległe widnokreśli i sięga do bezdennych głębi; spostrzega to, co niewidzialne dla przeciętnego, normalnego człowieka, spostrzega we fizycznej i duchowej rzeczywistości zjawiska, dostępne jedynie organom, subtelnie zróżniczkowanym. Podobnie jak jego nerwy wzrokowe i słuchowe, obdarzone nadmierną wrażliwością, drgają za najłżejszym falowaniem powietrza, niepochwytne dla ucha i oka zwykłego, normalnego człowieka, tak i najtajniejsze drgania duszy ludzkiej udzielają się jego duchowym spostrzegawczym organom, jego przeczuciom i nastrojom z największą wyrazistością. Moment psychiczny, stan duszy, który dla nas jest tylko jednostajnym niezróżniczkowanym objawem, rozkłada Poe na niezliczone części składowe. Rozmyślając nad nim, dochodzi się koniecznie do wniosku, że najwyższa inteligencja i najskrajniejsza subtelność są objawami chorobliwości. Tylko nadmiernie zaostrozony wzrok wizyонера, albo człowieka, odurzającego się opium, zdoła przedrzeć zasłonę, która zakrywa tajemnicę przyszłości. „*Folie et génie sont congénères, in radice conveniunt*“, powiada uczony francuski (Moreau: *Psychologie morbide*), i dodaje równocześnie: »Psychiczna dyspozycja, przez którą jeden człowiek różni się od drugiego bądź oryginalnością myśli i poglądów, bądź spotęgowaniem wrażliwości, bądź też większą bystrością sił intelektualnych, pochodzi z tychsamych stanów fizjologicznych, co poszczególne zboczenia umysłowe, a najdoskonalszy typ tych nieprawidłowości przedstawia się jako obłąkanie lub idiotyzm.« Dlatego po wszystkie czasy uważano geniuszów za obłąkanych. I nie ci ludzie, wśród których fizycznie przebywali, byli właściwym i istotnym ich środowiskiem, lecz przyszła generacja, związana z nimi wspólnością duchową. Geniusze nigdy nie żyli w tym świecie, który obejmowali za pomocą swych zmysłów, rozwiniętych ponad przeciętną miarę i ponad typ normalny; ich świat inne miał granice i inne przestwory. I dlatego po wszystkie czasy rozgrywała się ta odwieczna tragedia, której bohaterem był chory, obłąkany — jedyny, który w duszy swej miał ewangelię przyszłości, jedyny, który naprzód mógł pchnąć całą ludzkość. Geniusz i męczeństwo są nierozłączne, a »zdrowi« po wszystkie czasy kamieniować będą swych wielkich »chorych«.

Psychopatologia przyszłości ostatecznie tę sprawę rozstrzygnie; tymczasem zobaczmy, jak Poe doskonale zrozumiał zjawiska, których sam był najoczywistszym objawem: »Ludzie mówią, że jestem chory«, powiada bohater z »Eleonory«, ale pytanie, czy chorobliwość nie jest właśnie najwyższą inteligencją, czy to, co jaśnieje i głębią przeraża, nie wykwitło właśnie z chorobliwości myśli, z chorobliwej formy bytu, która potęguje się i wysubtelnia nadmiernie kosztem innych funkcji psychicznych. Ci, co śnią w jasny dzień, zapoznają się z wieloma rzeczami nieznanymi tym, co śnią tylko w nocy. W mglistych swych wizjach spostrzegają oni świetlane smugi wieczności, a kiedy się ze snu budzą, poznają z przerażeniem, że zetknęli się z wielką tajemnicą. Nagłe rozbłyski ukazują im, co w mądrości jest dobrego i co w poznaniu jest złego. Bez steru i busoli docierają do owego rozległego oceanu »niepojętej światłości«, i jak w przygodach nubijskiego geografą, »*agressi snut mare tenebrarum, quid in eo esset exploraturi*«. W swoich »Marginaliach« opowiada Poe, jak wyobrażał sobie nieraz los człowieka, który duszą wzniósł się ponad wszystkich innych ludzi, i który właśnie dlatego

z nieubłaganą koniecznością musi uchodzić za chorego. Człowiek taki jest obłąkanym dla nierozumiejącego go tłumu i dlatego musi zginąć jako męczennik pod ciosami kamieni, którymi go obrzucają.

Przez tę właśnie znajomość tajemnych stanów duszy, psychologia Poe'go nabiera wielkiej wartości. W naturze ludzkiej nęcą go jedynie pierwotne pokłady, mroczne, tajemnicze i anormalne przejawy, — owe ustronia, w których ciemni przesuwają się i zbaczają wszelkie wymiary, w których obłądne myśli wrastają do ohydnych, potwornych głów Meduzy, w których trwoga błąka się jak upiór nocny, a niepojęte popędy migotają jak morskie oczy niektórych kobiet. Człowiek, olśniony tym wzrokiem, traci wolę i zdaje się na łaskę i niełaskę widm, idzie wszędzie i nie wzdrygnie się nawet przed wstrętą, odrażającą kąpielą z ciepłej krwi. Jako psycholog jest Poe zarazem mistykiem i subtelnym analitykiem. Z zamiłowaniem opisuje objawy zбочenia i zwyrodnienia, oraz momenty wahania się między życiem a śmiercią.

Jest cały szereg akcyi psychicznych, które stoją na granicy między wrażeniem a myślą; trwają one cząstkę sekundy, a w języku ludzkim nie ma słów na ich określenie. Przesuwają się przez duszę, jak cień chmury przez łąkę. Poe stara się utrwalić znikomą ich istotę słowami: psychiczne wrażenia (*psychical impressions*). To dziwne kwiecie, złożone z najbardziej niezemijskich pierwiastków, wyrasta na granicznej linii między snem a jawą. Pokrewnym jemu jest stan przejściowy między życiem a śmiercią.

Poe z zamiłowaniem analizuje ten stan. Wielekroć opisuje w swoich nowelach śmierć pozorną, sen hipnotyczny, napady epilepsji, we wszystkich fazach, od pierwszych symptomów aż do oprzytomnienia chorego. Jako badacz stanów psychicznych godzien stanąć obok największych analityków nowoczesnych, obok braci Goucourt'ów, Bourget'a i Dostojewskiego. Tematem tym zajmuje się w »Przedwczesnym pogrzebie«. W noweli »*The facts in the case of Mr. Valdemar*«, opisuje, jak z pomocą hipnozy można w umierającym na długi czas zatrzymać wygasające życie; zahipnotyzowany ma świadomość odbywającego się nieprzerwanie w jego organizmie rozkładu i w chwili obudzenia ze snu rozpada się w cuchnącą, bezkształtną masę. W noweli »*The pit and the pendulum*« opisuje, jak heretyk, wzięty na tortury, traci przytomność. Na wielu stronicach kreśli opis momentu, w którym przytomność zwolna zaczyna powracać, rozdrabnia tę chwilę na cząsteczki, wyprowadza jeden objaw z drugiego, zatrzymuje się przy każdym odcieniu, z którego znowu wytryska cała tęcza, słowem patrzymy jakby na zawiły rachunek, pełen zawrotnych, niepochwytłych subtelnosci.

Jako psycholog jest Poe nie tylko zwiastunem nowoczesnego romansu analitycznego, ale porusza się przede wszystkim — łącząc w ten sposób romantykę niemiecką z dekadentyzmem francuskim — w owej sferze, którą obecnie bardzo zajmuje się psychopatologia i psychologia kryminalna. Opisuje mnóstwo form zбочenia osobowości i woli; ludzie jego — to niemal wyłącznie zwyrodniali. Z szczególnym zamiłowaniem zajmuje się zbrodniarzem z instynktu, zbrodnią jako chorobą, objawami, którym brak widocznej przyczyny, a które nie przestaną nigdy budzić najwyższego zajęcia. I na tem polu Poe zbadał niezmiernie wiele i dotarł aż do wyników nowoczesnych badań.

Czem jest jaźń, indywidualność, świadomość? Według metafizycznej hipotezy świadomość jest czemś pierwotnym, czemś od początku danem, czemś, co istnieje w sobie i przez siebie; jest abstrakcyjną jednością podobnie jak punkt matematyczny, jest przyczyną, punktem wyjścia, początkiem. Według hipotezy no-

woczesnej psycho-fizjologii świadomość jest czemś, co nie istnieje od samego początku, jest czemś, co ujawniło się dopiero na podłożu ewolucji świata organicznego, co czerpie swój byt z fizycznego swego substratu, i jest wytworem przemiany materji, konkretną całością, kompleksem, kresem. Jądrem jaźni, podstawą indywidualności, jest właśnie owo pierwotne życie zwierzęce; a pierwszym zawiązkiem kiełkującej świadomości, podłożem wszystkich jej przejawów, punktem centralnym, od którego zależy ich charakter i około którego wszystkie te przejawy się grupują, jest samowiedza i funkcje fizjologiczne organizmu. Musimy zejść do nisko stojącego organizmu, którego świadomość ogranicza się jedynie do poczucia własnego istnienia, ażeby ująć to działanie świadomości i jej mechanizmu w oderwaniu od innych pokładów, wytworzonych przez ewolucję; im niżej sięgniemy, tem to pierwotne poczucie będzie bardziej przeważało, aż wreszcie stanowić będzie samo dla siebie całą indywidualność psychologiczną. Ale u człowieka echo tego pierwotnego ustroju bardzo rzadko się odzywa subtelnym, słabym szeptem, który ginie prawie zupełnie w ogłuszającym, hałaśliwym świecie namiętności, uczuć, obrazów i myśli. Dusza ludzka jest jakby bogatą tkaniną, której wzory niemal całkowicie zasłaniają tło. Gdy ustrój funkcjonuje normalnie, reminiscencje tego pierwotnego stanu są bardzo niejasne, bo nigdy nie odczuwamy dokładnie tego, co wskutek przyzwyczajenia straciło wyrazistość plastycznych kształtów. Ale gdy organizm wyjdzie z równowagi, natenczas widzimy, że jedynie *on* jest centrem indywidualności. Skoro tylko kółka tego aparatu staną, wstrzyma się także reszta mechanizmu; skoro ich chyżość zwiększy się lub zmniejszy, odczuwa się zmianę we wszystkich zakątkach osobowości; skoro tylko ta fizyczna podwalina indywidualności dozna wstrząśnienia, zachwieje się natychmiast gmach, na niej oparty. Przez to poczucie własnego organizmu człowiek czuje się całością, czuje, czem jest i jakim jest. Jednakowoż poczucie organizmu jest tylko jednym z dwóch czynników, z których składa się osobowość: i drugim jest pamięć. Pamięć spaja stany świadomości, w które przemienia się część procesów fizjologicznych. Skoro tylko to poczucie organizmu lub ta pamięć częściowo lub całkowicie dotknięte zostaną chorobą, naówczas cała osobowość ulega również chorobie. Wszystkie niezliczone wypadki z patologii osobowości tworzą jedyny, nieprzerwany łańcuch, począwszy od pierwszego, słabego zachwiania się osobowości, która polega na wznoszeniu się i opadaniu średniego poziomu życia indywidualnego, przyczem osobowość odczuje się inną jak zazwyczaj — czyli innymi słowy mówiąc, występuje ekscytacja albo depresja — a skończywszy na najzupełniejszej metamorfozie osobowości. Tej ostatniej towarzyszy rozdwojenie jaźni, a wtedy także pamięć jest ubezwładniona. Między tymi dwoma krańcowymi punktami rozgałęzia się mnóstwo chorobliwych objawów. Przejście z jednego do drugiego jest bardzo nieznaczne, a wszystkie mają swoją siedzibę przeważnie w zmysłach, w pobudliwości narządów, albo w inteligencji; wszystkie jednakowoż pośrednio biorą początek z zarodka, który stanowi pierwotne podłoże organiczne natury ludzkiej. Są one wrzodami, które nadmiernie się rozrastają, są zбочeniami w normalnem funkcjonowaniu mechanizmu, są częściowymi paraliżami, pasorzytami, które się silnie wpijają w organizm. Jeden chory czuje się rozsiękanym na kawałki, ów podwójnym; ten z własnej jaźni, z własnych swoich chęci, z własnego głosu i ciała wytwarza nowe indywiduum, niezawisłe i samoistne, tamten czuje, że niektóre części jego ciała są zwiększone, pomniejszone lub skrzywione; mężczyzna czuje się kobietą, kobieta mężczyzną; u jednego pierwotna osobowość

znikła zupełnie i ustąpiła miejsca zupełnie nowej, u drugiego obie osobowości naprzemian występują na jaw. A wszystkim tym objawom wspólna jest częściowa lub całkowita przemiana poczucia organizmu, owej silnej podstawy, na której osobowość spoczywa. „*Tel organisme, telle personnalité*“, posiada Ribot w „*Maladies de la personnalité*“. Na czym jednak polegają te fizyczne przemiany — niewiadomo.

Taksamo rzecz się ma z wolą. Jest ona również abstrakcyjną jednością na podobieństwo punktu matematycznego. Podobnie jak świadomość jest tylko szeregiem stanów świadomości, taksamo i wola jest tylko szeregiem aktów woli. Wola ma bardzo prosty początek; powstaje z właściwej wszelkiej materii organicznej pobudliwości, to znaczy zdolności reagowania na wpływy zewnętrzne. Typem zasadniczym aktu woli jest odruch. Każdy akt woli nie jest więc początkiem, lecz kresem. nie jest przyczyną, lecz wynikiem; w każdym takim akcie odróżnić można dwa czynniki i dwa okresy: wola i działanie, stan świadomości, który konstatuje dążność i zawikłany mechanizm psycho-fizyologiczny, w którym tkwi możliwość spełnienia lub zaniechania. Jakkolwiek przy zaniechaniu to zboczenie prądu nerwowego z właściwego toru nie jest faktem pierwotnym, lecz pochodnym, przecież wynikiem jego będzie zawsze działanie osłabione. Ale w jaki sposób myśl może wywołać ruch? Wszak między myślą a ruchem nie ma widocznego związku, istnieje tylko zależność między dwoma stanami tejsamej natury, między dwoma stanami fizyologicznymi, między dwiema grupami nerwów, z których jedna należy do sfery czuciowej, druga do sfery ruchowej. Bo uczucia a nie myśli kierują człowiekiem; myśl jako taka, sama w sobie, nieznaczna ma tylko dążność do przemiany w ruch. I w tem wyjaśnienie faktu, że przepaść dzieli odczucie tego, co uważamy za dobre, od jego wykonania. Taksamo co innego jest przeświadczenie o bezmyślności jakiegoś dogmatu, a wyzwolenie się z pod jego władzy, co innego jest potępienie jakiejś namiętności, a przewyciężenie jej we własnej naturze.

Akt woli nie jest jednak wyłącznie prostą przemianą stanu świadomości w ruch, albo też zdolnością zaniechania: jest on zarazem objawem reakcji poszczególnej jednostki. Akt woli skonstruowany jest w bardzo zmienny i skomplikowany sposób: jest niejednakowy dla różnych osobników i zmienny dla tego samego indywiduum przy zmienionych warunkach. Na tem polega do pewnego stopnia możliwość wyboru. Ze stanowiska jedynie formalnego akt woli jest tylko sądem. W istocie swej jednak okazuje pewne pokrewieństwo ze zjawiskiem, że magnes przyciąga żelazo, że owadożercze rośliny żywią się tylko pewnymi substancjami organicznymi, a inne odrzucają. Taki sam układ molekularny u wybierającego i przedmiotu wyboru jest w tem, o ile zdaje się, decydujący. Powinowactwo to sprawdza się także u człowieka ze względu na cnotę, występki itd. Zatem przyczyna, dla której jednostka wybiera tak a nie inaczej, leży właśnie w jakości substancji lub czynników, z których powstał jej charakter i w różnicach między jednym indywiduum a drugim. A cechy indywidualne są wytworem właściwego sposobu odczuwania, niezmiennego odcienia organizmu.

Chcieć, znaczy przeto wybierać środki działania. Trojakiego rodzaju są więc zboczenia w świecie woli: albo braknie bodźca, w takim razie akt woli nie dochodzi do skutku (abulia, agorafobia, *folie du doute*), albo też bodziec jest tak nagły i intensywny, że przeszkadza wyborowi i odrazu w czyn się zamienia, albo też wreszcie wola zanika zupełnie tak, że u chorego występuje brak chęci i brak działania (ekstaza, somnambulizm).

Według prawa patologii woli, opierającego się na

jej genezie, rozkład postępuje wstecz od aktów bardziej dobrowolnych i bardziej skomplikowanych do aktów mniej dobrowolnych i mniej skomplikowanych, czyli automatycznych. Kres ewolucji jest zarazem początkiem procesu rozkładowego. Jestto to samo prawo, które ma swe zastosowanie w patologii pamięci: zapomina się najpierw mowy logicznej, potem wykrzykników, które Max Müller nazywa mową czuciową, potem wreszcie, w pewnych rzadkich wypadkach, ruchów. Jestto to samo prawo biologiczne, według którego funkcje, stanowiące ostatnie ogniwa rozwoju, najpierw wyrodniają tak u jednostek, jak u gatunków. (Th. Ribot: *Les maladies de la volonté*).

Istnieje cały zastęp ludzi, których psychopatologia nazywa zwyrodniałymi. Są to chorzy, zrodzeni z pewnego rodzaju predyspozycją, która czeka tylko sposobności, żeby ujawnić się w formie anormalnych popędów i zbrodniczych aktów. Wszyscy okazują zboczenia organiczne, prawie wszyscy posiadają zewnętrzne właściwości, w budowie czaszki, w twarzy, tułowiu i innych częściach ciała, właściwości, których wspólną cechą jest asymetria. Symptomy są różnorodne i występują bądź sporadycznie, bądź gromadnie, w mniejszej lub większej ilości, ale wszystkie należy uważać za latorośle tego samego pnia: wszystkie rozgałęziają się na tle temperamentu zwyrodnienia. Typ zwyrodniały ma rozmaite odmiany; ale od idiotyzmu aż do zwyrodnienia etycznego (*moral insanity*), nie pozbawionego czasem nawet wielkiej inteligencji, można wykryć wspólność cech symptomatycznych. Zwyrodniały jest chorym. We wszystkim idzie za odziedziczoną predyspozycją. nie może działać w inny sposób, popęnia dziwactwa i zbrodnie z tą samą koniecznością, z jaką części jego ciała zbudowane są asymetrycznie. Wszelkie rozprawy, broniące wolnej woli, nie mogą się mierzyć z anatomicznym faktem, że pewna przewaga lub pewien brak tej lub owej części mózgu stanowi o przewodzie refleksyjnej myśli, albo instynktownego działania. W ogólności można powiedzieć, że każda występna lub nienaturalna skłonność, o ile nie da się wyjaśnić fatalnym wpływem środowiska społecznego lub rodzinnego, jest nieomylnym świadectwem zwyrodnienia. Szaleniec, okazujący objawy zboczenia na tle etycznym, psychopata seksualny, urodzony zbrodniarz — wszyscy należą do rodziny zwyrodniałych. Być może, że cechy zwyrodnienia są zabytkami atawistycznymi. Zasadniczy bowiem typ urodzonego zbrodniarza (*criminél-né*), obłąkanego w sferze moralności (*moral insane*) epileptyka, człowieka przedhistorycznego i niektórych ras półdzikich jest tensam.. Typ ten błąka się wśród naszej cywilizacji niby upiór z czasów barbarzyńskich, a człowiek naznaczony jego piętnem, jest jakby zwierzęciem, które pochodzi wprawdzie od przodków dawno oswojonych, ale które nagle popada w nieokiełzanie, właściwe pierwotnemu dzikiemu stanowi. (H. Saury: „*Étude clinique sur la folie héréditaire*“, [*les dégénérés*]; Lombroso: »Człowiek zbrodniarz«.

Na tem, pobieżnie nakreślonym, tle nowoczesnych badań spróbuję teraz odtworzyć postacie Poego. Muszę jednak poprzestać na kilku typowych przykładach.

»William Wilson« jest jedną z najbardziej znanych nowel Poego. Główną osobą jest młody człowiek, którego koledzy szkolni otaczają niezwyklej czcią. Ale ta przewaga umysłowa i fizyczna nie robi żadnego wrażenia na jednym z kolegów, który wstąpił do szkoły w tym samym dniu, nosił to samo nazwisko, taksamo się ubierał i zdumiewająco był do pierwszego podobny. Wzrost, ruchy, kształty, spadek i dźwięk głosu w niczem się nie różniły. Był to jakby stosunek dobrej kopii do oryginału. Między oboma Williamami Wilson, którzy urodzili się nawet w tym samym dniu, powstaje bardzo dziwny stosunek. Pierwszy William Wilson nienawidzi

drugiego, bo ten nie chce poddać się jego władzy, nie nawidzi go — ale zarazem się go boi; a w spokojnej pewności siebie drugiego ukrywa się mimo nietajonej pogardy i wszelakich obelg pewna uległość. Z biegiem czasu zaprzyjaźnili się obaj Wilsonowie tak dalece, że są nierozłącznymi towarzyszami. Właściwy William Wilson czuje mimo wszystko nieprzeparty jakiś pociąg ku swemu imiennikowi; ciągle dopatruje w nim czegoś, co wzbudza niejasne wizje młodości, wspomnienia z czasów, kiedy pamięć dziecka zaczyna się dopiero wykluwać; zdaje mu się, jak gdyby od bardzo dawna znał już tamtego Wilsona.

Po pewnym czasie Wilson zapisuje się na uniwersytet; tu puszcza zupełnie wodze skłonnościom, ugruntowanym w jego naturze, i rzuca się na zabój w orgie młodzieńcze. Pewnej nocy urządza w swym mieszkaniu rozpasaną bakchanalię. Godzina mija za godziną. O świcie, kiedy Wilson chce właśnie wznieść bluźnierczy toast, otwierają się nagle drzwi, a ochryply głos służącego oznajmia jakieś odwiedziny. Gospodarz, który spodziewa się nowego żartu, powstaje i zatacza się ku drzwiom korytarza. W niskiej i wąskiej przestrzeni ciemno; tylko przez małe koliste okienko wpada światło szarżującego dnia. Ale w ciemności dostrzega Wilson młodego człowieka, we wszystkim do siebie podobnego. W chwili, w której przestępuje próg pokoju, młody człowiek zbliża się do niego pospiesznie, ujmując go niecierpliwie za ramię i szepce: »William Wilson!«

Po dwóch latach spotykamy się z Wilsonem w towarzystwie graczy. Wilson bowiem od jakiegoś czasu oddał się zupełnie szulerce i posługując się nieuczciwymi fortelami, ogrywa złotą młodzież. Właśnie siadł do zielonego stolika, aby ograbić jakiegoś bardzo bogatego studenta. Udaje mu się to w zupełności; młody człowiek z twarzą trupio bladą siedzi w milczeniu wśród swych przygnębionych i strapionych przyjaciół. Nagle drzwi się roztwierają na oścież. Wszystkie światła jakby cudem gasną. W ciemności spostrzega Wilson człowieka, który zupełnie jest do niego podobny; przybysz odzywa się głosem, który go zimnym dreszczem przejmuje, głosem, który znał tak dobrze, głosem towarzysza nieodłącznego i imiennika, własnym jego głosem — wykrywa obecnym fałszywą grę Wilsona i przekonuje ich o tem niezbitymi dowodami.

Wilson musi opuścić uniwersytet. Błąka się po całym świecie, żeby pozbyć się tego strasznego, tajemniczego imiennika, ale napróżno. Ten towarzyszy mu wszędzie jak cień. Zjawia się wtedy, kiedy ścigany najmniej się go spodziewa.

Jesteśmy na balu maskowym w Rzymie. Wilson, nawpół odurzony alkoholem, nawiązuje właśnie miłosny stosunek z jakąś mężatką, gdy nagle czyjaś dłoń spada mu na ramię i tajemniczy szept dochodzi jego ucha. Rozwścieczony chwytając swego prześladowcę, wlecząc do bocznego pokoju i zabija bez wahania. »Nagle ktoś przycisnął klamkę drzwi. Pobiegnę, żeby je zamknąć na klucz, a potem wróciłem do umierającego wroga. I straszny, nieopisany dreszcz grozy wstrząsnął moją istotą, kiedy spostrzegłem, co zaszło przez tę krótką chwilę. W najdalszym kącie pokoju, gdzie przedtem nie było ani śladu jakiegokolwiek przedmiotu, stało teraz wielkie lustro. Zbliżałem się powoli ku niemu, a z przeciwną szedł ku mnie niepewnym, powłóczyłym krokiem własny mój obraz, ale blady i krwią zbroczony. Tak mi się jednak tylko zdawało. To nie był mój obraz, lecz wróg mój, Wilson, straszny w przedśmiertelnej agonii. I nie było nitki w jego ubraniu, — nie było linii w jego wyrazistej, charakterystycznej twarzy, któraby nie była taką samą, jak moja. — To był Wilson, — ale nie szeptał już, a mówił głosem, który, jak mi się zdawało, był moim własnym:

»Pokonałeś mnie; ustępuję. Ale odtąd i ty nie żyjesz; jesteś martwy dla świata, dla nieba i dla nadziei. We mnie było źródło twego istnienia — i patrz w tym obrazie, który jest twoim obrazem, zabijeś i mnie i siebie jednym uderzeniem«.

Jestto wypadek rozdzielenia osobowości; u patologów nowoczesnych znaleźć można cały szereg analogicznych przykładów. Są w Wilsonie dwa odrębne centra indywidualności, z których chwilami tworzą się dwie, współcześnie istniejące osoby. Człowiek, u którego fizyczna podstawa indywidualności dotknięta jest chorobą, przenosi moralne swoje skrupuły, ostrzegający głos sumienia poza organizm, a w chwilach, w których najbardziej uwydatnia się kontrast między dodatnimi stronami jego natury, a nadmiarem złych skłonności, sumienie to przybiera realne kształty i żyje własnym, odrębnym życiem. Nowela jest pisana w pierwszej osobie, a bohater pyta sam siebie: »Czy żyłem ciągle w śnie? I czyż nie umieram, jako ofiara grozy i tajemnicy, co ostanta najdziksza ze wszystkich ziemskich wizyj?« Całość można wyjaśnić alegoryą, personifikacją dwoistości w naturze ludzkiej, walką między cnotą a występkiem w duszy jednostki; ale psychologia tego zjawiska mimo to niemniej głęboka, a prawda patologiczna niemniej jasna. W tym wypadku mamy do czynienia z moralną alegoryą, popartą dowodami ze świata rzeczywistego. A skoro tak, to może lepiej wcale nie mówić o alegoryi?

(Dokończenie nastąpi.)







Tadeusz Miciński.

## MODLITWA

Z głębin serca k'Tobie wzywam, Panie,  
Z pomroku duszy, gdzie się kryje płaz —  
Łzy mi się cisną i tworzą wyznanie,  
Jakie się w życiu składa tylko raz  
I tylko Tobie.. Czy mnie słyszysz, Panie?

Otom zbłąkany wśród piasków pustyni:  
Pożar zwątpienia pali głowę mą,  
Wicher goryczy serce wyschłem czyni —  
A znikąd rosy — chyba zroszon łąką,  
W której się mieści cały ból pustyni.

Dokoła ciągną wyjące szakale  
Stadami węsząc samicę lub żér —  
Gdy je usłyszę — moich łez opale  
W twarde i ostry kamienieją żwir  
I głązy ciskam....

Lecz teraz noc jest — i przez gwiazd milczenie  
Przemawia do mnie Wiekuisty Duch —  
Jemu odsłonię duszy swej zmęczenie —  
On stworzy we mnie życiodajny ruch —  
On mnie roztopi w błękitów milczeniu.



Byłeś mi hojny — Tyś mi jak z kryształu  
Serca dał bratnie — iście boski dar —  
I topór czynu i wicher zapału,  
Który me żagle pędził w słońca żar —  
I marzeń garstkę z tęczy i kryształu.

Długo płynąłem w mych wierzeń bezmiary,  
Lecz coraz gęstszy włókł się za mną cień —  
Aż słońce zgasło — lodowate mary  
Wpiły się w serce — i słuchały drzeń —  
O jak okropne są te trzy wymiary!

Orkan uderzył, gdy żagle przegniły,  
Zrdzewiała kotew i złamał się ster —  
Na brzeg mnie pusty fale wyrzuciły  
Do monottonnych Rezygnacji sfer,  
Gdzie w kółko błędę, tracąc resztę siły.

Ach, błędę — błędę z bezmierną rozpaczą,  
Rwąc się do słońca i błękitu mórz —  
Złowrogie kruki nad mą głową kraczą:  
»Mgły są wieczyste, już nie będzie zórz —  
»Nigdy już słońca dusze nie zobaczą!«

Ach, wówczas myślę, (niechaj to bluźnierstwo  
Ciebie nie dojdzie!) żeś Ty nie jest Bóg,  
Ale ohydne natury szalbierstwo,  
Co nas wywodzi za instynktów próg,  
Aby porzucić na ból i bluźnierstwo.

Lecz skąd się biorą nadziemskie tęsknoty  
I wizje światów, jakich niema tu?  
Przez każdą duszę płynie strumień złoty,  
Niosąc nadzieję anielskiego chrztu  
I piór przyrostu na miejscach brzydoty.

Jest kraj, gdzie krążą w cudownej symfonii  
Duchy od ziemskich oderwane gniazd —  
I to, co tutaj umarło w agonii —  
Tam — wśród zamieci różnobarwnych gwiazd  
Wciela się światłem — grą — tęczą symfonii.

Lecz znowu czuję — tej nieskończoności  
Ująć nie zdoła ni rozum, ni lot!  
Wszak również bezmiar widzimy w mglistości,  
I gwiazdy wabią na topieli błot —  
Czemże ja wieczne wśród przemian wieczności?



»Jednego tylko — jednego potrzeba —  
(To ty o Panie? boski Mistrzu mój?)  
»Duch Pocieszyciel da wam mądrość z nieba,  
»A Jam serc waszych utajony zdroj —  
»Napój wieczysty, którego wam trzeba.«

O prawda, prawda — mój najświętszy Panie —  
Bez Twej miłości jest mi pusty świat  
I żadne z światem nie łączy wiązanie  
Nie nęci człowiek, gwiazda, ani kwiat —  
O miłość Twoją błagam Ciebie, Pani!

## Upraszamy o odnowienie prenumeraty, celem uregulowania nakładu.

### PRZEGLĄD PRZEGLĄDÓW.

[Mercure de France — Neue deutsche Rundschau — Revue blanche.]

Żmudną pracą historyków sztuki wzniesiona budowa symetryczna doznaje coraz częstszych wstrząśnień. Dla artysty niezależnego, dumnego, mającego na celu wyłącznie sztukę swoją, niczem były wszelkie reguły i przepisy szkoły, do której go zaliczano. Środki, którymi się posługiwał, były taksamo jego wyłączną własnością, jak myśl którą chciał temi środkami uplastyczyć. Dla Rembrandta najwyższą regułą twórczości była własna jego dusza, w której głębi nieustannie spoglądał. Po nielicznych innych przedstawia Rembrandta w »MERCURE DE FRANCE« André Fontainas jako dumnego herosa, jako ponurego księcia, który odwrócony od świata i życia, pogrążał się zawsze w ekstazach świetlnych swoich wizyj i w niezmiernych przestworach mroku. Dla takiego artysty podobizny, które rzucał na płotno, były tylko epizodycznym, przypadkowym, pobocznym momentem, a centrum dzieła — owo ścieranie się dwóch wrogich żywiołów: światła i cienia, dwóch krańców, między którymi falują nieustannie, tą walką utrzymywane w równowadze, nadzieje nasze i cierpienia. Rembrandt, to dumny, królewski artysta, ośniewany ciągle światłem nadziei i tonący w grozach odwiecznego mroku, to subtelny wizjoner, który sam sobie jest zagadką, to jakiś spotęgowany Hamlet, który we wszystkim się waha, tylko nie w swoim ciąglem zwątpieniu. Przez całe jego »dzieło« przewija się ten jeden motyw, to jedno wątplenie, które utrzymuje w nim siłę i pewność siebie przez całe życie. A życie to jest jednym nieprzerwanem błakaniem się wśród jedynej wizyj, nie zatracającej się nawet w zwykłych podobiznach. Tak życie i sztuka spływają się w jedno: artysta zatracając wrażliwość na zewnętrzne podmioty, które przechodzą mimo niego, lekko się tylko ocierając, ale nie pozostawiając żadnego śladu. Kontrast światła i cienia! wszak niejedyn artysta posługiwał się tym środkiem, a mimo to nie dosięgnął wyżyn, które są siedzibą wielkich myślicieli: Rembrandta, Velasqueza, Lionarda... Bo obok tych jest właściwe miejsce Rembrandta, który posiadał dziwną, tajemniczą potęgę wzbudzenia w widzu rozległych, pobratymczych widzeń, podobnie jak Beethoven jednym tonem, który rozlewa się na wsze strony i ginie w nieskończoności, porwuje słuchacza w swój własny, odrębny świat. Tajemnica ta polega na technice Rembrandta: oto np. »Homer, dyktujący poezję«. Twarz starca majestatycznie spokojna, zadumana. Usta otwarte wypowiadają powolnie słowa, oczy otwarte, ale nieruchomo wpatrzone we wnętrze, ślepe, zamknięte na widowisko świata. Cała postać odziana w lśniące od złotych odcieni lachmany, spoczywa spokojnie na niepewnym, mglistym tle. Dla każdego innego artysty postać taka byłaby jedynym punktem, na który zwróciłby całą uwagę, ale u Rembrandta patrzymy nagle na niespodziewane zjawisko, na cud, który twarz tę oblewa nadziemską egzaltacją. Tam z boku na ramieniu wytryska złocistym strumieniem żółta plama, rozpyła się tysiącem odcieni i wytwarza ekstatyczny, bohaterski entuzjizm, natchnienie: źródło twórczości. Ten kolor żółty, to zasadniczy ton, który triumfalnie rozpościera się, sam z sobą tworzy kontrast i sam w sobie się gubi. I tak na licznych innych obrazach widać te dwa momenty twórcze: epizodyczny i główny: główny leży w kolorycie, w świetle i nieznacznie, powolnie się objawia. Ślepy starzec, Homer, jest praojcem wszystkich jasnowidzących. Jak gdyby wcielił się

w coraz to inne kształty, zatracając majestatyczny swój spokój i ciągle się odmładzał. Zawsze jednak jest ślepy, zawsze prawie oczy ma przykryte na świat zewnętrzny, skierowane ku wnętrzu. A gdy oczy otworzy, zderza się z przeskodami, których dawniej nie widział i staje się przez to bohaterem najboleśniejszej tragedji. Młodym starcem, który bardzo wczesnie wszystko już poznał, jest Hugo von Hoffmannsthal (Loris). Mówi o nim F. Poppenberg w »NEUE DEUTSCHE RUNDSCHAU«. Jestto artysta, który życie chce przepoić swoją sztuką, któremu świat jest teatrem, zabawką, igraszką, rzuconą w przestrzeń przez nieznaną jakąś potęgę, wiejącą w śród mglistych przestworzy. Jest artystą, w ściślejszym znaczeniu: ale jest także poetą, w którym odzywa się głos życia. Ponad światem rzeczywistym, znikającym buduje misterne, niepochwytne niemal światy, wprowadza w nie drobne figurki o myślących, zadumanych oczach, marionetki, których ruchami kieruje ktoś z góry, i które nie mówią własnym głosem: ktoś mówi przez nie i za nie. Melancholijnie krążą wzdłuż alei rozległych parków, okwieconych bladymi, chorymi, w nadmiernej subtelności, powojami — Przed razami świata, którego tajemne powiązania poznał dokładnie, chroni się w dawno minioną przeszłość, bo ta ustalona w obumarłych kształtach nie wysuwa się z palców za najbliższym dotknięciem i w ten sposób staje się ogniskiem, wysyłającym wrażenia i wzruszenia tem delikatniejsze, że przypuszczone pyłem ubiegłych wieków. Hoffmannsthal pragnie życie przesyć swoją sztuką, pragnie być i jest jakby »estetycznym Proteusem«, chce być aktorem swych własnych, z pajęczą oczu widomą snów i marzeń i dlatego teatr jest mu światem, świat teatrem, teatr marionetek teatrem świata: kontrast, w którym objawia się głębokie wejście w głębi i istotę wszechwiedzy. — Zjawiska świata są mu *objets d'art*, ale nie zabawkami, które aleksandryjski przepych gromadzi dookoła siebie i upaja oczy widomą linią i kształtem, lecz są mu dziwnie splecionym powojem, w który spogląda zamroczonym okiem i stara się rozwikłać tajemnicze węzły. Hoffmannsthal należy do wielkiej rodziny pesymistów, którzy zajrzeli w głębi poznania, stanowiącego dla nich źródło siły i słabości. Jego poezja jest cichą tragedją, ujętą w misterną formę trwałego stylu. Przewijają się w niej niewyraźne cienie losów ludzkich, działające jak smutne, hieratyczne gesty.

A oto inny, nie zawsze artysta, Gunnar Heiberg, twórca głębokiego dramatu »Balkon«, występuje jako zgrzybliwy mizantrop: Skandynawia wielu wydaje mizantropów. Mam przed sobą najświeższe dwa zeszyty »REVUE BLANCHE«, a w nich przekład ostatniej komedji Heiberga »Rada ludowa«: dramat należący do grupy pamfletów polityczno-społecznych, niewiele mających ze sztuką wspólnego. Jestto satyra na wszelkie rządy ludowe i parlamentarne, biczująca zgrzybliwym, szyderczym, krzykliwym śmiechem. — Ojczyzna w niebezpieczeństwie. Rada ludowa zbiera się dla »zastanowienia się« nad położeniem. Od uchwalenia lub nieuchwalenia jakiegoś tajemniczego porządku dziennego zależy przyszłość kraju. Po krzykliwych naradach i niepotrzebnych dyskusjach uchwalono wojnę. Ale na wojnę musi iść sama reprezentacja ludu. Poczyniwszy przygotowania które świadczą o bezdennej głupocie, tak są nieudolne, ojcowie narodu idą na spotkanie nieprzyjaciela, po drodze jednak mordują się wzajemnie o kawałek chleba. Jeden tylko, jakiś służący hotelowy, zdołał wysadzić most w powietrze i zniszczyć armię nieprzyjacielską. Połegłych »bohaterów« lud na barkach dźwiga

do miasta. Idzie teraz o utworzenie nowego rządu. Poeta, który stworzyć chce wiekiustą pieśń, ogarniającą świat cały, dla zdobycia kobiety, przemawia do ludu i po długiej walce wskazuje właściwego bohatera. Ten czyn poety, który mógł przywłaszczyć sobie władzę, ale nią wzgardził, jest w oczach kobiety największym, bo jest »pokonaniem siebie samego«. Należy ona do siostr Heddy Gabler i Hildy Wangel, które pragną czegoś »nadzwyczajnego«, a potem (u Heiberga) zadawalniają się pięknym mężczyzną, który ich popędy potrafi zaspokoić. Rzecz kończy się zabawą ludową, tańcem: nowy panujący, samowładca, ów służący hotelowy gra na skrzypcach a lud tańczy według z góry podyktowanego taktu. — W całym dramacie niema właściwie ani jednego człowieka: Heiberg wysłał na scenę szereg lalek (nie marionetek, bo te inne zupełnie mają znaczenie), typowych figurek, które mówią słowami i zdaniami, ukutymi od wieków. Takie figurki nie mogą służyć nawet do wyobrażenia pewnej kategorii ludzi, którzy są raczej szablonami niż ludźmi; intencja autora, usiłującego właśnie takich ludzi przedstawić, świadczy o nieudolności. Za każdą ze swych figurek wysłał Heiberg szyderczy śmiech a nawet czuć, że ma ogromną ochotę pchnąć taką lalkę kopnięciem nogi. Po kilku aktach burzy cały ten światek, siada na gruzach i śmieje się, boleśnie potrząsając głową. Jestto dramat (niema w nim właściwie niczego, co by świadczyło o tem, że to jest dramat — chyba dialog i scenerya), który wyszedł z tegosamego źródła, co »Nowa Ziemia« Knuta Hamsuna. Ale takimi dramatami nie zdołają oni położyć kresu czy przekształcić stosunki, które swoją skrajną nicością tak bardzo ich rażą. Stosunki te nadal pewno trwać będą i nowe pamflety i satyry pomnożą »literaturę«, ale nie wzbogacą sztuki — przemina, taksamo jak stosunki, które je wywołały, a które ustąpią miejsca innym, niemniej beznadziejnym. L.

### ODPOWIEDZI REDAKCYI.

**P. Michalinie Schw. w Tarnopolu.** Forma bez zarzutu, treść błaha. Rękopis do zwrotu. Numer wysyłamy.

**D. mol.** Wydrukujemy, ale prosimy o cierpliwość. Za pamięć o »Życiu« serdecznie dziękujemy.

**»Nic a przecież coś« we Lwowie.** Dla nas nic. Rękopis zniszczony.

**P. Wł. Soleckiemu w Pieniakach.** Grę w szachy wlece cenimy, ale artykułów o niej nie zamieszczamy. Proszę się zwrócić do »Tygodnika Ilustrowanego«.

**P. Maryi Biał. w Dębicy.** Wierszyk bardzo melodyjny, szkoda, że z poezją nic wspólnego nie mający.

**P. W. Bończa w Berlinie.** Sonetu nie zamieścimy.

**Alfowi we Lwowie.** Czczą melancholia psuje wiersz. »Życie« nie zamieści.

**P. Henryt. Zbierz. we Lwowie.** Jak na początkującego zbyt wiele poprawności we formie, a zbyt mało oryginalności w treści.

**P. Edgarowi Mian..** Dużo egzaltacji i marzycielstwa. Talent, dopiero szukający swej drogi. Pański »biały krzyż« — to reminiscencya z wiersza St. Brzozowskiego. Nieprawdaż?

**Flisowi.** To kronikarstwo, a nie poezja.

**P. L. F. Mulickiemu w Krakowie.** »O wieczornej godzinie« nie dla »Życia«. Co począć z rękopisem?

**Aut. »Błękitnej«.** Majaczenie. Rękopis zniszczony.

**Aut. »Krainy szczęśliwych«.** »Rzecz nie warta wzmianki, jak list wysłany do pierwszej kochanki«. Do zwrotu.

Najbliższy numer „ŻYCIA“ ukaże się 15-go lutego.

# ZYCIE



J.M.

*[Small signature]*

# „ŻYCIE“

dwutygodnik ilustrowany poświęcony literaturze i sztuce

wychodzi w Krakowie 1-go i 15-go każdego miesiąca

pod redakcją

**Stanisława Przybyszewskiego.**

»ŻYCIE« zalicza do swoich współpracowników najznakomitsze talenty młodszego pokolenia pisarzy i artystów.

O literaturach obcych piszą w »ŻYCIU« najwybitniejsi przedstawiciele tychże literatur.

**Warunki przedpłaty (z przesyłką):** W Austrii: kwartalnie 2 złr. 60 czt. (5 mk. = 8 fr. = 2 dolary), rocznie 10 złr. 40 czt. W Cesarstwie Rosyjskiem i Królestwie Polskiem: kwartalnie rs. 3, półrocznie rs. 5, rocznie rs. 10.

**Cena numeru pojedynczego 50 czt.; w Rosyi 50 kop.**

Przedpłatę przyjmują: Administracja »ŻYCIA«, oraz księgarnie i biura dzienników. W Warszawie księgarnia M. Arcta, w Petersburgu księgarnia K. Grendyszyńskiego.

**Numery okazowe rozsyła się bezpłatnie.**

# „ATENEUM“

CZASOPISMO MIESIĘCZNE

poświęcone sprawom społecznym, ekonomicznym, politycznym, nauce, literaturze i sztuce,

wychodzić będzie w roku bieżącym 1899, jak dotąd w zeszytach, mniej więcej 12-0 arkuszowych, według dotychczasowego programu.

**Warunki przedpłaty:** Prenumerata „Ateneum“ w Warszawie, w Królestwie, Cesarstwie i zagranicą wraz z przesyłką pocztową wynosi: **Rocznie rub. 12, półrocznie rub. 6 kwartalnie rub. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi prosimy o nadsyłanie przedpłaty bezpośrednio

Do Redakcyi „Ateneum“

w Warszawie, Warecka Nr. 10.

# „GŁOS“

tygodnik społeczny,  
polityczny i literacki,

10

wychodzi co sobota w objętości 24 stronnic dużego formatu w okładce.

Wyróżnia się od innych tygodników, pod względem informacyjnym, obszerną rubryką korespondencyj, dotyczących życia polskiego w kraju i za granicą. Stałe korespondencye z Krakowa i Lwowa.

W roku 1899 od Nru 1-go rozpoczął druk powieści nagrodzonej na konkursie »GŁOSU« Ludwika Godlewskiej (Exterusa) p. t. *Dobrane pary*. W dodatku bezpłatnym prenumeratorem otrzymali w kwartale I-szym słynne dzieło Robertasona *Humaniści nowożytni* (Carlyle, Spencer, Mill, Emerson i in.) w przekładzie Jana Steckiego; na kwartał II i III »GŁOS« przygotowuje książkę o *Finlandyi*.

Prenumeratorem, którzy przybędą od 1 kwietnia otrzymają bezpłatnie początek „Dobrych par“.

**WARUNKI PRENUMERATY „GŁOSU“:** w Warszawie miesięcznie kop. 60. kwartalnie rs. 1.75; z przesyłką pocztową: kwartalnie rs. 2.25, rocznie rs. 9,

**ADRES „GŁOSU“:** *Warszawa, Marszałkowska Nr 99.*

## Najnowsze wydawnictwa »Głosu«:

**L. Godlewska:** »Kato«. Powieść z tomy rs.

2.—

**Z. Heryng:** »Logika ekonomii«

1.—

**J. Hobson:** »Rozwój kapitalizmu współczesnego«

3.—

**H. Spencer:** »Instytucje zawodowe«

1.—

**E. Tylor:** »Cywilizacja pierwotna« z tomy

4 80

**J. Witort:** »Zarysy prawa pierwotnego« rs.

1.—

**K. Seignobos:** »Dzieje Europy współczesnej«. Wyszedł zeszyt I i II po 1 rs. W prenumeracie całość z 4 tomów kosztuje bez przesyłki z przesyłką

3.50

4.—

mondo antico), str. 418 zlr. 2.—

*Gliniński Henryk.* Mamusia, studia niedyskretna, str. 254, zlr. 2.—, ozdobił opr. zlr. 2-50.

*Golicin Zygmunt Ks.* Kazania niedzielne i świąteczne. Z portret. i życior. autora zlr. 2.—

*Heine Henryk.* Z „Księgi pieśni“ wiązanka poezyi, przełożyła W. Prussniggowa. zlr. 1-20.

*Hygiena palenia.* Studium fizyolog.-lekar. 60 ct.

*Irena.* Powieść z czasów Domicyana. Wydanie drugie. Str. 552, zlr. 2.—

*Jirašek Alojzy.* Raj świata. Powieść na tle epoki kongresu wieńskiego, autoryzowane tłumaczenie, zlr. 1-40.

*Kołaczkowski Klemens,* generał. Wspomnienia, księga I. od r. 1793 do 1813, z 7 rycinami, zlr. 1-20.

*Krzyżanowski A.* Przełom i inne nowele. zlr. 1-20.

**Książeczka do modlitwy dla mężczyzn.** Na początku umieścił autor modlitwy poranne i wieczorne (najważniejsze w tekście łacińskim i polskim obok siebie); następnie Mszę św., w całości po łacinie i po polsku i drugi sposób pobożnego słuchania Mszy św. Następująca część wypełniają nabożeństwa, służące do dobrego przygotowania się do przyjmowania św. Sakramentów, najpotrzebniejsze litanie i modlitwy okolicznościowe.

Oprawna giętko w płótno gładkie, brzezi czerwone, zlr. 1.—, w prawdziwy szagren, watawana, zlr. 3.—, w celluloid, brzezi czerwone zlr. 3.—, w jucht czerwony, watawana, brzezi złocone, zlr. 4.—

ych myśli, rozsiadyon w nieznej wieszczą korespondencyi.

*Milewski Józef,* Prof. Uniw. Budżet i kredyt publiczny, roztrząsania finansowe i polityczne. Zlr. 2.—

*Morawski Maryan ks.,* Prof. Uniw. Filozofia i jej zadanie. Wydanie trzecie, o 440 stronicach zlr. 3.— w pięknej oprawie zlr. 3-80.

*Morawski Zdzisław.* Z dziejów Wenecyi w wieku XV. Zlr. 1-20.

*Milewski Józef Dr.,* prof. Uniw. Jag. Cele polityki agrarnej, odczyt wygłoszony na kursie socyalnym 40 ct.

*Pawlicki Stefan Ks. Dr.* Prof. Uniw. Jagiell. Żywot i dzieła Ernesta Renana. Wydanie nowe powiększone. 30 arkuszy druku zlr. 3.—, opr. w półskórek franc. zlr. 4-50.

*Pelczar Józef Ks. Dr.,* Prof. Uniw. Jagiell. Prawo małżeńskie katolickie z uwzględnieniem prawa cywilnego obowiązującego w Austrii, Prusach i w Królestwie Polskiem, 3 tomy zlr. 8.—

— Zarys dziejów kaznodziejstwa w kościele katolickim. Część I. Kaznodzieje greccy i łacińscy zlr. 1-40, w staran. opr. zlr. 2.—

— Część II. Kaznodzieje polscy. W 8 ce, str. 401, zlr. 3.—, w staran. opr. zlr. 3-60.

— Rozmyślenia o życiu kapłańskiem, czyli ascetyka kapłańska. Wydanie drugie pomnożone 2 tomy zlr. 6.—

— Kazania na uroczystości i święta N. Maryi Panny. Wydanie drugie poprawione. 2 obszernie tomy zlr. 5.—

— Życie duchowne czyli doskonałość chrześcijańska, według najcenniejszych mi-

— Cena tomu o 480 stronicach zlr. 3.—

*Sewer.* W kleszczach, Magdusia, dwie nowele. zlr. 1-60.

*Sigurd.* Sprzedany sierota. Pamiętniki radcy Jönsöna. Powieść tłumaczona wedle 3-go wydania szwedzkiego, 80 ct.

— Humoreski. (Uparta córka. — Niepocieszona emigrantka. — Zbiory p. Andersöna. — Miłość z przeszkodami. — Szcześliwa kuracya. — Z dziennika pani Liny Karlsan. 50 ct.

**Sprawozdania komisji Akademii Um. do badania historii sztuki w Polsce.** Tom VI., zeszyt 1, zlr. 2.—, Tom VI., zeszyt 3 i 4, zlr. 5.—. Są to zeszyty in-folio, bardzo starannie i obficie ilustrowane, a zawierają prace pierwszorzędných autorów, na tej niwie pracujących.

*Strzelecki Adolf.* Szekspir i Bacon. Studium literackie. Zlr. 1-50.

— Sieciech i królewicze, opowiadanie historyczne dla młodzieży, nagrodzone na konkursie. Kartonowane zlr. 1-50.

*Tępa.* Nie z salonu. Szkice z codziennego życia, zlr. 2.—

*Tretiak Józef Dr.,* Prof. Uniw. Jag. Szkice literackie w 8-ce str. 331 zlr. 3.—

*Winkiewicz Stanisław Dr.* Akta rządy polskiej Babińskiej, według oryginalnego rękopisu wydane, zlr. 1-80.

— Mikołaj Rej z Nagłowic. Wyczerpujące to studjum obejmuje nie tylko literacką działalność Reja, ale i jego dokładny życiorys, zlr. 1-20.

**Główny skład w Warszawie w księgarni Gebethnera i Wolffa.**

# Redakcja i Administracja „Życia“

od 1-go lutego b. r. przeniesioną zostaje  
do domu przy ulicy Pańskiej 1. 11.

## „LEGENDA“

poemat dramatyczny  
Stanisława Wyspiańskiego  
pojawił się w handlu księgarskim  
w ozdobnym wydaniu.

Abonenci *Życia* mogą za pośrednictwem administracji nabywać „Legendę“ za cenę 30 ct. (markami).

## EPILOG

uroczystego przedstawienia  
w teatrze krakowskim  
w dniu 27 czerwca 1898  
na cześć

**ADAMA MICKIEWICZA.**

Skład główny:

Redakcja „ŻYCIA“ ulica Pańska 1. 11.

Cena 30 cent.

Redakcja kazała odbić na grubym papierze cztery klisze:

„SYMBOL“, „WAMPYR“  
i „PORTRET WŁASNY“ Muncha

a następnie

„DWÓCH MŁODYCH“ Vigelanda.

Wszystkie cztery odbitki można nabyć w Administracji „Życia“ za 1 złr.

## ZAKŁAD

kupna i sprzedaży

wszelkich ruchomości w zakres urządzenia domowego wchodzących (nowych i używanych)

ulica Floryańska (róg ulicy św. Tomasza),

kupuje i prosi o zawiadomienie w razie potrzeby sprzedaży, sprzedaje i przyjmuje do sprzedaży w komis.

*Z. Łuszczewski.*

Wertheima-Triplex używany także w cesarskim Burgu.

Wysokoramiennie maszyny nożne po niższej cenie  
Złr. 35-50



## WERTHEIMA

### MASZYNY do SZYCIA.

Uznane jako najlepsze, szyjące bez hałasu, zaopatrzone we wszelkie ulepszenia tegoczesne, maszyny do szycia dla użytku rodziny i zastosowania w przemyśle.

Żądajcie cenników i wzorów szycia.

**30** dni próby — 5 lat gwarancji na piśmie. Każdą maszynę, która podczas próby nie okaże się doskonałą, przyjmujemy na koszt własny napowrót.

Tylko bezpośredni stosunek z publicznością, bez agentów, pozwala mi sprzedawać za pół zwykłej ceny ten pierwszorzędny brykat.

Znacie Państwo już Wertheima-Triplex (nowy patent)?

**STRAUSS** Spedycyjny Skład maszyn do szycia  
Wiedeń, IV. Margarethenstrasse 12.

Do sprzedania  
roczniki i numery pojedyncze „Życia“

w Administracji „Życia“, ul. Pańska 1. 11.

I. TOM

## BIBLIOTEKI „ŻYCIA“

wyjdzie wkrótce z pod prasy

i zawierać będzie dwa arcydzieła współczesnego dramatu skandynawskiego:

Gunnara Heiberga: „Balkon“

Gustawa Wieda: „Noc ślubna“

❖ Cena 50 centów. ❖

Dla abonentów „Życia“ cena niższa na 30 centów.

Zamawiać można

w Administracji „ŻYCIA“

Kraków, ulica Pańska 1. 11.

